

IRENA KRZYWICKA

ŻYCIE

MIMO WSZYSTKO

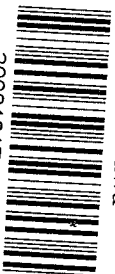
SZTUKA W 3-CH AKTACH
NA TLE ZBURZONEJ WARSZAWY

BIBLIOTEKA POLSKIEGO TEATRU
EMIGRACYJNEGO W PARYZU

OSOBY :

JAN — lat 35, architekt
 HELENA — lat 25, nauczycielka
 OJCIEC HELENY — lat 55, stolarz
 ANIELA — lat 50, wdowa, straciła 2 dzieci podczas wojny
 MARIA — jej przyjaciółka
 JACEK — lat 18, jej syn, powstaniec
 ANTONI — lat 19, jego przyjaciel
 ALOJZY
 FRANKA
 PANTUSIA
 WALERIA — jej służąca
 PRZECHODZIEM

Biblioteka Narodowa
 Warszawa



30001017604411



I.302.596

1947.4.m.18.19/5

A K T I.

Scena 1.

(Panorama zburzonej Warszawy. Ulica pełna gruzów, szczątki kamienicy, stawa taki jak w pierwszym okresie po powstaniu. Z lewej strony krzyżyk, grób. Na nim pół-leży stara kobieta. W gruzach buszuje para „szabrowników”. Podany dzień w końcu lutego).

ALOJZY : (wychodzi z ruin kamienicy z workiem) Nic już niema, samo śmiecie, masz coś ?

FRANKA : Parę wazonów kryształowych. Cholernie ciężkie i bo kto to kupi ? Żeby choć z jedną szmatkę ! Małka znalazła wczoraj buty, i to jakie, nowe boksy od Kiełma-
 na, ale to dalej w śródmieściu. Tu już wszystko wybrane.

(Siadają w gruzach zmęczeni)

ALOJZY : Ale gorąco, jak w jacie. Człowiek się spracuje jak to bydlę.

FRANKA : Tylko w słońcu ciepło, w cieniu mrozek. Przeszukałeś te piwnice na lewo ? Ja ci powiem, że tam coś musi być. Żeby tak pożyczycie szpada. (woła do sąsiedniej kamienicy, której nie widać na scenie) Józek, Józek, masz tam co ? A pożycz-no szpada !

(Kobieta pół-leżąca na grobie wzdryga się nerwowo od krzyku i siada z jękiem, patrząc błędnie przed siebie. Potem zakrywa oczy dłońmi i trwa nieruchomo. Nie słyszy nawet jak ktoś z brzękiem rowca spadł na scenę)

ALOJZY : (wstaje leniwie) Pójdę pokopać, może coś znaj-
 de. Widziałem tam dziurę w cemencie. Może tam co jest. Cho-
 lera jak to się człowiek musi męczyć.

Scena 2.

(Franka siedzi na środku sceny, nieco wyżej i w głą-
 bi, worek rzucenia na ziemię, je biały bukiet i kawał kiełbasy.
 Z prawej strony wchodzi Jan i staje, patrząc na gruzy ka-

nienicy. W gwęszeli, oburzy. Grzeje nerwowo prawą dłoń, patrzy i patrzy. Po pewnym czasie spada i nie spuszcza wzroku z domu)

FRANKA : (do niego) Panie, panie, czegoś pan tak usiadł. Niema się na co gapić. Grzyzy i już! Idź pan lepiej poszukać, czy czego nie znajdziesz. My nie są zle ludzie, ani nie chytre. Mój mąż poszedł w lewe piwnice, a pan idź se w prawe.

JAN : (nie odpowiada)

FRANKA : (w najlepszym humorze, do kłęczącej kobiety, wciąż jedząc) Paniszu, paniszu, pani tam zamarnie. Kto to widział tyle czasu się nie ruszać. To lutowe słońce zdradliwe, od ziemi idzie ziąb (pochodzi, "nierze ją za ramiona"). No rusz się pani. Niema co płakać. Co umarło, już się nie wróci. (Kobieta odtrąca ją nagiym gestem. Franka woda obrażona) : Co to za ludzie są teraz. Idź do nich z sercem, a oni cię odepczną, jak psa. Żadnej jentelencji. Nie, to nie, zamarnij sobie pani na kość. (wraca do swoich worków i dalej je, popijając z butelki).

Scena 3.

(Wchodzi Anieła z prawej strony, rozgląda się niepewnie, spostrzegłszy Marię, pół-leżącą na grobie, pochodzi do niej spiesznie, kłeka przy niej, chwyciła się nóg, potem obejmując ją ramieniem)

ANIEŁA : Musisz już pójść. Wstań. Czas wracać.

MARIA (z jejtem) : Nie mogę.

ANIEŁA : Musisz. Nie wolno ci marnować zdrowia.

MARIA : Na co mi zdrowie ?

ANIEŁA : Nie wolno ci tak mówić. Jesteś potrzebna.

MARIA : Jestem skończona. Nie mogę, nie mogę żyć.

ANIEŁA : Musisz !

MARIA : Nie ma musu. I tak umrę. Zostaw mnie tutaj.

ANIEŁA : Nie.

FRANKA : (przygląda się z zainteresowaniem tej scenie)

Tak, tak, weź ją, pani stąd. Przecież to zapalenie płuc gotowe. I co to pomoże. Co przepadło, to się nie wróci.

(Maria spasmatycznym ruchem zastawia sobie oczy)

ANIEŁA : (łagodnie do Franki) Ma pani rację, ale niech pani tak nie krzyczy. Zaraz stąd pójdziemy.

FRANKA : Wiem, wiem, nerwy. A może wódki troszkę, to tę panią wzmocni.

ANIEŁA : Dziękuję. Ta pani jest mocna. (podnosi Marię) Musisz być mocna, Mario. To twoje zadanie.

MARIA : (martwym głosem, z napiętą obłąkanym uśmiechem) Mówię ci, że muszę tu zostać.

ANIEŁA : Chodź ! (Marta nie rusza się)

Scena 4.

(Wchodzi Alojzy i rzuca kolo żony napiętą i szkatułkę)

ALOJZY : (drżącym szeptem) Coś się znalazło, widzisz (jęce mu się trzęsą z chciwością). Niby papiery, ale muszą być i miękkie. Twardych niema, patrzalem. Ale trzeba dobrze przeszukać. W piwnicy, cholera, ciemno.

FRANKA : Zaraz, zaraz, co ci tak spieszno. Pomóżno odprowadzić tę panią, widzisz, że jej nogi odjęto.

ANIEŁA : Bardzo dziękuję. Tylko do furmanki w Aljach napewno wóz znajdziemy.

(Wyprowadza z szubrownikiem Marię. Franka przegłąda zawartość szkatułki, wygrzeba fotografie, rękopisy. Jan siedzi na zwalonym kawałku muru, łokiecie oparte na kolanach, twarz w dłoniach)

Scena 5.

ALOJZY (wracając) : Niby taka mdlejąca, niby już umiera, a jakesmy odeszli kilkanaście kroków już powiada, że dziękuje, że będzie sama szła i żebym już wracał. Też jakieś te ludzie dziwne są. (do żony) Coś znalazła ?

FRANKA : Gówno ! (pokazuje porozrzucone fotografie, papiery, rękopisy) Tyle. Warto ci było kopnąć. I też niedobrze we hbie miał, co to zakopał. Ale i to się przyda na owiniecie kryształów (wzię rękopis i owija wycięte z worka kryształki), przynajmniej się nie pobiją.

ALOJZY : Chodź głupia, nie pobiją się, to twarde (zmi-kają za zdaniem muru)

Scena 6.

(Wchodzi Jacek, wlokący się z trudem o kulach, z Antonim. Rozglądają się, ton rozmowy „z fasonem”, pojedyk) : JACEK : Patrz, jestesmy z pewnością bandyci, bo nas ciągnie na miejsce popemionych przestępców. To znany fakt w kryminologii. Tutaj chyba była barykada.

ANTONI : Nie, raczej tam. Trudno teraz rozpoznać, wszystko zawalone gruzem. Chcesz się ?

JACEK : Chyba. Jeszcze mnie piekielnie męczą te kule.

ANTONI : To pocoś się uparł, żeby przyjechać do miasta ?

JACEK : Mówiłem ci przecież, że matka z panią Anielą pojechała grzebać w ruinach, czy czego nie znalazła z naszych rzeczy. To jej zajmie z pewnością czas do jutra. Będzie nocowała w piwnicy. No więc skorzystałem ze swobody, zważszcza odkąd można dostać furmankę. Musiałem jeszcze raz to wszystko zobaczyć. Ale żeśmy się spotkali !

ANTONI : Też przyjechałem szukać rzeczy, naturalnie nie nie znalazłem, więc tu przyszedłem.

JACEK : Scharatanę porządnie. Naprawdę trudno się zorientować. Czekał, miałeś rację. Tam była barykada, tu szpital, no śladu z tego nie ma... ach... no to w takim razie *(godzi się bliżej do grobu)* to będzie grób mojej siostry. *(Stoją w milczeniu. Jan wstaje i odchodzi)*

Scena 7.

ANTONI : Czy jesteś pewny, że to nie tanten ?

JACEK : Pewny nie jestem, bo trudno rozpoznać się w tym gruzie. Ten albo tanten. Czy to nie wszystko jedno ? *(Siada obok grobu, opiera brodę na kauli)*. Dobrze że matka nie wie. Mogę ją हुईć, że Hania dostała się do niewoli. Matkę łatwo zbudzić. Tu widocznie w grę wchodzi instynkt samozachowawczy.

ANTONI : To matka nie wie, że ona tu leży ?

JACEK : Chyba nie. W każdym razie nie ode mnie. Zresztą, gdyby wiedziała, to pewnoby całe dnie spędzała na tym grobie i w ogóle nie wiem, co by się z nią stało. Ona Hanię strasznie kochała.

ANTONI : Biliście się razem z siostrą ? Mieliscie szczęście.

JACEK : Och, tylko bardzo krótko, odkąd wyszedłem ze starówki i kanałami przeszedłem do śródmieścia. Jak w jakim teatrze prosto natknąłem się na Hankę. Byłem już trochę poharatany, więc mnie wzięła zaraz na swój punkt.

ANTONI : Jaktó, mogłeś przejść kanałami z tym kręgosłupem ?

JACEK : Nie, wtedy miałem tylko postzwał w nogę. Ja-koś się przeczołgałem. Potem dopiero jak kropnęli bombę w szpital, tak mnie urządzili. Właściwie ja chodzę przy pomocy nie mięśni, tylko siły woli. To bardzo kształtujące dla młodzieży.

ANTONI : Idź ty, głupi, mógłbyś przestać żartować. Tutaj.

JACEK : Och, mój drogi, Hance jest o tyle lepszej, niż mnie, niema sensu jej żałować spokoju. Jeżeli ona naprawdę

przestata istnieć, to w ogóle świat jest taki głupi, że pozostaje tylko śmiać się na całe gardło, a jeżeli istnieje nadal, poza naszym życiem, to raczej ona patrzy z bólem na nas i ścisza głos mówiąc o nas z aniołami.

ANTONI : Zginęła na krótko przed kapitulacją ?

JACEK : Tak. Taki jeden warjat upart się, że przyjdzie przez barykadę, żeby zabrać ręką zabitemu Niemcowi. Polaził i tam go kropnęli. Żył jeszcze, więc Hanka poszła do niego, ale ją dostzegli. Dali salwę, ale ona choć już ranną, jeszcze go wtaszczyła na barykadę i umarła już po naszej stronie.

(Milczenie)

ANTONI : I matka myśli, że ona jest w niewoli ?

JACEK : Tak jej naopowiadałem. Każdy dzień, w którym nie wie, jest jak darowany.

ANTONI : A może dowiedziała się od kogoś innego ?

JACEK : Chyba nie. Nie znasz mojej matki. Conajmniej by się ciężko rozchorowała. Hanka była bardzo ładna i w ogóle matka za nią świata nie widziała. A tak widzę, że niepokoi się okropnie, ale się nawet czasem uśmiecha, wszystko robi i w ogóle jest do rzeczy.

ANTONI : Ma ciebie.

JACEK : To nie wiesz, że jak się ma dzieci, umiera zawsze to bardziej udane, a w każdym razie to, które się bardziej kocha ? Ja nie mam znużeń. Matka jest dla mnie bardzo dobrą, ale dla niej wszystkim była Hanka.

ANTONI : Wstydziłbyś się tak gadać. Dziękuj Bogu, że masz matkę. Ja nie mam nikogo. I rodzice zabici i drugi brat i w ogóle nie wiem, jak mam żyć.

JACEK : To tybys się wstydził. Jak się ma zdrowe nogi, to wszystko jest łatwe.

ANTONI : Daj spokój. O ciebie się troszczę. Mnie w domu bardzo kochano, bo byłem najmłodszy. Bardzo mnie rozpieszczono. Uczyłem się, czytałem i wojna przechodziła koło mnie, jakby bokiem. Odkąd brata Niemcy złapali i rozstrzelali w egzekucji ulicznej, matka ciągle prawie trzymała mnie na wsi. Do powstania nie poszedłem. I cóż, wszyscy moi zginęli, wszystko cośmy mieli przepadło, dalsi krewni są gdzieś zagranicą. Nie mam nic i nikogo, wyprzedają resztki garderoby, mieszkać u obcych ludzi, którzy mnie wyrzuca, kiedy wydam ostatnią złotówkę, co mi po zdrowych nogach ?

(Rozmowa chłopców w tonie spokojnym, niemał pogodnym. Nie lamentacji).

JACEK : Daj ty spokój, już jabym się z tobą zamienił i matkę.
ANTONI : A ja wolabym mieć przetrzącony krzyż

JACEK : No pewnie, że matka to jest fajna rzecz.

Scena 8.

(*Wchodzi Anieli z jakąś senflą.*)

ANIELA : Jacek, ty tu ? Jak mogłeś to zrobić ? Zaszko-dzisz sobie !

JACEK : Nic mi nie będzie. Nie mogę siedzieć na miej-scu jak przykutły. Jestem już prawie zdrowy.

ANIELA : Coby matka na to powiedziała ?

JACEK : Matka nie wie. Przecież tu mają wszystko uprzątać. Musiałem zobaczyć jak to teraz wygląda.

ANTONI : Jeżeli o to chodzi, to miałbyś wiele czasu. Je-szcze za dziesięć lat nie się tu nie zmienią.

ANIELA : Jak dojechałeś do miasta, furmanką ?

JACEK : Trochę furmanką, potem mnie zabrał jakiś sa-mochód wojskowy. Wyglądam jak klasyczny inwalida wo-jenny.

ANIELA : Ale poco, poco, wiesz, że musisz unikać wszelkich wstrząsów.

JACEK : To jest grob Hanki, wie pani ?

ANIELA : Właśnie przyszedłam z tą szuflą, żeby go tro-chę uporządkować, bo przyjdą wiosenne deszcze i wszystko się rozplynie, trudno będzie potem znaleźć. (*Porządkuje grób, podsygnuje piasek.*)

JACEK : To dobrze.

ANIELA : Ale ty musisz wracać czym prędzej, bo mat-ka oszaleje z niepokoju.

JACEK : Matka napewno spędzi noc w Warszawie, gdzieś w piwnicy. Uparła się, żeby szukać naszych rzeczy.

ANIELA : Matka jest w niedobrym stanie. Znalazłam ją tutaj. Dopiero co stąd ją odprowadziłam.

JACEK : Tutaj ? Więcej wie ?

ANIELA : Naturalnie. A ożes ty myślał ?

JACEK : Ukrywałam przecież przed nią.

ANIELA : Powiedzieli jej inni. Zresztą nie wiem, czy po-winno się ukrywać takie rzeczy.

JACEK : Co też pani mówi. Matkę to znamie.

ANIELA : Nie znamie, bo ma ciebie. Jak nie wolno mu się łamać, to człowiek trwa.

10

JACEK : Ja, to słaba pociecha dla matki. Tylko ciężar. Kaleka i nie więcej.

ANIELA : To właśnie matkę trzyma. Jakbyś był zdrowy, to byłaby ci niepotrzebna i mógłby się właśnie zamamała.

ANTONI : Matka jest zawsze potrzebna.

JACEK : Mnie jest matka potrzebna, ale matce potrze-bna jest Hanka.

ANIELA : Bluzniesz najzwyczajniej.

ANTONI : On zupełnie nie rozumie, co to jest za szczę-ście mieć kogoś bliskiego i nie być tak zupełnie samotnym.

JACEK : Poco się tyle mówi o mnie ? Jakim cudem matka zniosła śmierć Hanki i potrafiła się przede mną masko-wać ? Okazuje się, że się nie zna najbliższych istot, jeżeli mogłem się domyśleć. To też nie jest wesołe.

ANIELA : Czowiek nie zna samego siebie, to jeszcze smutniejsze. Gdyby mi ktoś powiedział, że ja będę zdolna przeżyć swoje dzieci! A jeżeli chodzi o samotność, panie An-toni, to samotność młodości nie jest -jeszcze tak straszna, młodość ma dar stwarzania nowych światów koło siebie i upręcie niedługi czas, a pan będzie miał znów barzo bli-skich ludzi, przyjaciół, kochankę. Tylko samotność starszych ludzi jest czymś ostatecznym. Twoja matka, Jacku, jest bar-dzo szczęśliwa, mając ciebie, mając dla kogo żyć.

JACEK : Wątpliwe szczęście.

(*Porządkując we troje grób. Od prawej strony wchodzi pa-nusia ze starym świączką.*)

Scena 9.

PANTUSIA : Moja Walerko, to chyba tutaj.

WALERKA : Pewnie tutaj. Tam naprzeciwko był rzeź-nik. Cały dom zburzony a jego sklep pozostał. Nawet kafeł-ki w ścianach niepothuczone.

PANTUSIA : To tak jak u pani Kowalskiej. Całe miesz-kanie zburzone a figura Matki Boskiej ocalała. To cud, moja Walerko. Trzeba Bogu dziękować.

WALERKA : To może pani tutaj przysiądzie a ja pójdę szukać. Ale mówiam już pani, że nic niema, wszystko wy-szabrowane. Tylko co wtedy tę pierzynę uratowałam.

PANTUSIA : Moja Walerko, poszukaj no tej patelni mo- siężnej do konfitur. Może się znajdzie gdzie pod gruzem.

WALERKA : Na co pani patelnia do konfitur. Ma to pani gdzie smażyć i za co ?

11

PANIUSIA : Zawsze patelnia patelnia, może się przydać.

WALERKA : Ale ta Warszawa, zburzona, o rety !

PANIUSIA : (dość obojętnie) A zburzona, zburzona. A może moje pudełko do robotek znajdziesz, wiesz to blaszane, może się nie spaliło.

WALERKA : Będzie tam sobie ręce łamać, żeby jakichś pudełków blaszanych szukać !

PANIUSIA : Nie jakies, tylko moje, do robotek. Zawsze byłas leniwa i uparta (placze).

WALERKA : I czego pani płacze ?

PANIUSIA : Pamiętasz mój dywan w sypialnym pokoju ? Jak pomyśle, że mi się spalił, to mało mi serce nie pęknie.

WALERKA : A mój kostium brązowy, co go sobie sprawiłam na Wielkanoc. Wyglądałam w nim jak lalka.

PANIUSIA : (placząc) Ty jak lalka ! Jesteś stary grzmiot i tyle.

SEUZĄCA : Pani to tylko uraga. A kto pani ocalał pierzynę ? Gdybym jej nie była wetknęła za węgiel, dużoby pani miała.

PANIUSIA : Ale brudna, moja Walerko, brudna.

WALERKA : Lepiej brudna, jak żadna.

PANIUSIA : Zawsze bylas brudas, to cię to nie razi. Ale idź szukać. Ja też zaraz do ciebie przyjdę, tylko trochę odpoczne.

WALERKA : No to idę.

PANIUSIA : Tylko nie zapomnij o patelni do konfitur. Jak pomyśle, że przepadła, to mało mnie żal nie zadusi (po-
placując).

(Walotka wchodzi w głąb spalonej kamienicy. Paniusia
wadycha, rozgląda się, do Aniela).

Scena 10.

PANIUSIA : A co to pani mąż tu leży ?

(Milczenie)

PANIUSIA : (głośniej) To pewno pani męża tu bomba
zabiła.

ANIELA : Nie.

PANIUSIA : To pewno synka. Ale nie trzeba się mar-
twić, bo jeszcze dwóch zostało. Tylko niepodobni do siebie.

JACEK : (przez szczy do Aniela) Każ tej babie zamilknąć.

ANIELA : Ona ma dobre intencje.

PANIUSIA : Tylko jeden synek, biedak, kaleka. Co to
za szkoda, taki przystojny. Jezu, Jezu, co to ludzie narobiłi.
To pewno od odłamków, co ?

JACEK : Niepodobna tu wytrzymać. (Staje na kuliach,
odchodzi. Za nim Aniela i Antoni)

Scena 11.

PANIUSIA : (woła w kierunku spalonej kamienicy) Wa-
lerka, jest patelnia ?

GŁOS SEUZĄCEJ : Niema.

Scena 12.

(Wchodzi Jan i znów siada w tej samej pozie niż poprze-
dznie miejsce. Paniusia wstaje i idzie do służącej w głąb pivo-
wego. Z grucio wchodzi Helena, w ręku trzyma jakiś powy-
gimny garnuszek i parę książek. Schodzi na to, co było
niegdyś jezdnią, rozgląda się i wychodzi, jakby szukając ko-
goś, ea kulisy. Zapada zwolna nurok. Po chwili Helena wra-
ca, kładzie obok siebie znalezione przedmioty, siada i z dress-
czem zabiera się w licha pelerynę. Jan wciąż nieruchomy. He-
lena patrzy na niego jakiś czas, rozgląda się bezradnie
i wrzeszcze cicho do niego podchodzi. Siada przy nim i kładzie
mu rękę na złożonych rozpaczliwie dłoniach. Przez chwilę
siedzą bez ruchu, wrzeszcze Jan — spóźniona reakcja —
wzdryga się gwałtownie, usuwa swoje ręce i mówi :

JAN : Kto pani jest ?

HELENA : Czy to nie wszystkie jedno ?

JAN : Czego pani chce ?

HELENA : Żeby pan nie siedział tak samotnie.

JAN : Mnie nie trzeba towarzystwa. (Przyjmuje poprze-
dznią pozę).

HELENA : (cicho) Ludzie są potrzebni jedni drugim.

JAN : Ci którzy są mnie potrzebni, są tu (uszkazuje gru-
zy), pod tym...

HELENA : Tak myślałam.

(Milczenie. Siedzą obok siebie).

JAN : Niech pani odejdzie.

HELENA : Nie. Byłam tu parę godzin temu, pan sam się
błakał i teraz pan siedzi od Bóg wie jak dawna. Ręce pan
ma lodowate. To jeszcze zima.

JAN : W takim razie ja odejść.

HELENA : Właśnie mi o to chodzi.
JAN : I usiądę gdzieindziej.
HELENA : To w każdym razie będzie lepiej niż tu. Nie trzeba patrzeć na to miejsce.
JAN : Kobiety są natrętne.
HELENA : Tak.

(Milczenie)

JAN : Nie rozumiem, czego pani chce ode mnie.
HELENA : Chcę panu pomóc.
JAN : Mnie pomóc nie można.
HELENA : Zawsze można trochę pomóc. Mnie też ludzie pomogli. Jestem równie nieszczęśliwa jak pan.
JAN : To niemożliwe.

HELENA : Niech pan nie będzie zarozumiały. Możliwość nieszczęścia jest niewyczerpana.
JAN : Kobietom łatwiej je znieść, mogą się wyplakać, wygadać.

HELENA : Właśnie chciałabym, żeby i pan się wygadał. Niech mi pan wszystko opowie. Może będzie panu trochę lżej.

JAN : Co za pomysł — obecki sobie.

HELENA : Tylko z obcymi mówi się szczerze. Nie zobaczysz się nigdy więcej w życiu. Jak w pociągu. To do niczego nie zobowiązuje.

JAN : Nikomu nie opowiadałam o sobie.

HELENA : Nikomu ?

JAN : No tak. Ale o tym nie warto... Niech pani prze-
stanie mnie męczyć.

(Milczenie. Sieniwnia się bardzo.)

HELENA : Więcej mam odejść ?

(Milczenie)

Jeżeli pan nie chce mówić, to niech pan w każdym razie tu nie siedzi. Wieszór się robi. Trzeba iść do domu.

JAN : (śmieje się ironicznie) Do domu ? Pani jest dom-
cipna. Do jakiego domu ? A pani ma dom ?

HELENA : Nie.

JAN : Ani ja. Więcej dokąd mi pani każe iść ?

HELENA : Gdzieś pan przecież mieszka.

JAN : U obcych ludzi, którym jestem ciężarem.

HELENA : Ja też u obcych, ale zdaje się, że nie jestem im
ciężarem. Pracuję.

JAN : Pani jest zdaje się pełna wszelkich chroń. Pracow-
liwość, miłośniczka i tak dalej. Nie mam ochoty rozmawiać.
HELENA : To będziemy milczeć.
JAN : Pani, zdaje się, uparta się, żeby przy mnie sie-
dział ?

HELENA : Tak.

(Jan robi taki ruch, jakby chciał wstać, ale zostaje. Mił-
czenie).

JAN : Poco właściwie pani żyje ?

HELENA : (zastępczo) Jakiś ? Bo chcę żyć.

JAN : Po co ?

HELENA : Życie jest jednak piękne.

JAN : Dawno już nie słyszałem nic równie zabawnego.

HELENA : Cóż robić ? Lubie życie.

JAN : I to wszystko ? (ruchem pokazuje dookoła) I to ?
(pokazuje grób ; Helena milczy). I wogóle słyszałem, że
pani jest nieszczęśliwa i tak dalej.

HELENA : To co ?

JAN : Teraz ja pani nie rozumiem.

HELENA : No więc jestem nieszczęśliwa, a jednak lubię
żyć.

JAN : Widocznie nie wie pani, co to jest nieszczęście.

HELENA : (parsknięcie ironicznym śmiechem) Pan upie-
ra się przy swoim monopolu. Chce pan mojego bilansu ; dwa
lata Pawlaka, brat zastrelony na ulicy, narzeczony otrut się,
bo go złapali Niemcy przy robocie, matka zabita przez gra-
nat, ja... ale to już mniejsza. W każdym razie lista nie jest
kompletna.

JAN : I mówi pani o tym tak spokojnie ?

HELENA : Cóż, wylizczam fakty.

JAN : I kocha pani dalej życie ? (ironicznie) To wzru-
szające.

HELENA : To może bardzo głupie, ale jednak tak jest. Kie-
dy człowiek jest wolny, nie może być tak zupełnie nieszczę-
śliwy. I kiedy nie ma ich przemocy nad sobą.

JAN : Pocięszac się można różnie. Nawet tym, że ist-
nieje życie pozagrobowe.

HELENA : Nawet i tym.

JAN : Wierzy pani w zagrobowe życie ?

HELENA : Zdaje się, że tak.

JAN : Tylko się pani zdaje. To niewiele.

HELENA : To bardzo dużo.

JAN : Ja wierzę tylko w przemoc człowieka nad człowie-
kiem.

klam, w beznamiętną chaotyczność losu, w niewyczerpane okrucieństwo przyrody.

HELENA : I ja tak myślałam jeszcze przed wzięciem.

JAN : Czy to Pawlak pomógł pani uprzykrzokować swój światopogląd ?

HELENA : Do pewnego stopnia.

JAN : Tak.

HELENA : Czy naprawdę ?

JAN : Szczęśliwy z pani okaz.

HELENA : Nie tak szczęśliwy, jak się panu zdaje. To mi pomogło przetrwać.

JAN : Ja siedziałem 3 lata w Oświęcimiu i straciłem resztki wiary, jeżeli ją kiedykolwiek miałem.

HELENA : Widocznie każdy człowiek reaguje inaczej. I w Oświęcimiu było ciężej niż na Fawiaku. Ciężkie zapewnienie zbytnio absorbowano. Trudno było myśleć.

(Milczenie)

JAN : I po tych trzech latach, kiedy żona wydoszła mi prawie cudem, kiedy wróciłem wreszcie do niej i zobaczyłem dziecko, które się urodziło po moim aresztowaniu, przyszło powstanie.

HELENA : Bł się pan ?

JAN : Oczywiście. Byłem w Mokotowie, podczas gdy ona tu... Wróciłem kanakami do śródmieścia i zobaczyłem to... (wskazuje ręką gwałtownie)

(Milczenie)

To i lepiej, że ona jest tam pod tym wszystkim. Uszybywał głębok, bawił się w sadzenie na nim kwiatków, to nie dla mnie. Zburzone miasto, zburzone moje życie, wspólny grób dla nas wszystkich.

HELENA : Niech pan tak nie mówi.

JAN : Że co ? Że nie powinienem myśleć o samobójstwie ? Nawet nie dano mi tego przywileju. Zostało to dziecko, którego prawie nie znam i które, szczerze mówiąc, nie mnie nie obchodzi. Nie mam instynktów ojcowskich. Ale mam poczucie obowiązków. Nie wolno mi umrzeć, bo onaby mi nie przebaczyła, że opuściłem nasze dziecko. Rozumie pani co za głupi kawał losu : nie wolno mi umrzeć, chciał nie mogąc żyć. Jeden z pomysłowych tricków matki-natury. Instynkt przedłużenia gatunku wspomaga instynkt samozachowawczy. I ja zdaję sobie sprawę z całej nędzy tych popędów, a jednak jestem im posłuszny.

HELENA : A to jednak cudowne, że zostało pannu dziecko.

JAN : Nic w tym cudownego : przyniosy i nie więcej.

A dla uzupełnienia ironijki, której wszyscy potrzebnie padamy ofiarą, to dziecko, wiem, że żyje, ale nie wiem gdzie jest. Zabrano je do przytułku i gdzieś tam istnieje na terenie Polski, a ja będę musiał go szukać. A jak znaję będę musiał gotować mu kaszkę, potraszać grzechotką, robić do niego głupie miny, bo tak się podobno postępuje z dziećmi. Potworne kpiny i nie więcej.

HELENA : (twardo) Więc niech je pan pozostawi swemu losowi.

JAN : Mówiłem już pani, że to niemożliwe. Nie mogę przecież dziecka pozostawić w przytułku.

HELENA : Widzi pan teraz, dlaczego podoba mi się życie ?

JAN : Nie rozumiem pani.

HELENA : To wszystko jedno. Widzę teraz, że pan będzie żył, a skoro pan, chętnie, czy niechętnie, wybierze drogę życia, niema sensu, żeby się pan rozchorował, siedząc na tym kamieniu i być jeszcze większym ciężarem swoim znajomym i sobie.

JAN : To prawda (wstaje). To chodźmy.

HELENA : Ja idę w inną stronę.

JAN : Jaktó, dokąd ?

HELENA : W każdą razę w inną stronę, niż pan.

JAN : (zaskoczony) Dlaczego ?

HELENA : To proste. Jestem nieznajomą i nie zobaczył się nigdy więcej w życiu. Dlatego mógł pan rozmawiać ze mną tak, jak pan rozmawiał.

JAN : Co za głupstwa. Skoro mogłem rozmawiać z paną, to znaczy, że ma sens, abyśmy się poznali.

HELENA : Nigdy w życiu. Nigdyby mi pan nie wybaczył tego, że byłem ze mną tak szczerzy. Takie rozmowy i takie znajomości nie powinny mieć jutra. Ja tu jeszcze czekam na kogoś. Niech pan już idzie.

JAN : Ach, domyślam się, szczęśliwy następca zmarłego nazwczonego. Dlatego pani tak kocha życie. Ma pani rację. Żegnaj panią.

Scena 13.

(Ochodzą. Z gruzów wychodzą panusia ze służącą)

PANTUSIA : Nie znalazłaś patelni ?

SŁUŻĄCA : Gdzieżby tam. Bo to można co znaleźć ?

PANTUSIA : Bo nie szukasz, zawsze byłeś do niczego.

Patrz co ja znalazłem (*pokazuje*). Klatkę dla kanarka, prawie niezniszczona, widzisz? Coprawda nie moja, ale poco się ma marnować i złożyć jakiś ma wzięć?

SIŁĄCZA: Co pani, dachu nad głową niema, to kanarków się pani zachciewa?

PANUSIA: Więc co, mam wyrzucić? Może się przydać. Zawsze byłeś marnotrawna. (*Wychodzi*)

Scena 14.

Helena błąka się wśród ruin, natrafia na podarty rękopis z fotografie. Zbiera wszystkie i układa. Wchodzi ojciec jej, starszy rzemieślnik, zmęczony.

OJCIEC: Jesteś córku, to dobrze. Spóźniłem się, że nie daj Boże, ale zacytn Mazurkowej pomogłem co się dało z pod gruzów wyciągnąć, to i dzień zeszły. Ale bez chłopca nie dałaby rady. A ty co córku, znalazłaś?

HELENA: Polamany garniec, parę książek i teraz cudze rękopisy i fotografie.

OJCIEC: A to schowaj Heluniu, to schowaj, mogą się ci ludzie znaleźć, to dla nich ważniejsze niż złoto.

HELENA: Pewno. Ale przecież nie wiemy, czyje to.

OJCIEC: To nic. Bywają różne zrzędenia. To przecież z naszej kamienicy, więc się z czasem wykryje. W każdym razie marnować nie można. Co za podli ludzie, że to tak porzucali.

HELENA: Rękopis podarty.

OJCIEC: To nie, schowaj to, schowaj. To pewno będzie tego z czwartego piętra. Jak wróci, to mu się przyda.

(Helena chowa wszystko do torby)

Ale własnego tośmy mało co znaleźli. Dobrze że moje narzędzia przynajmniej. Widzisz, chytrze zrobiłem, że w podwórku zakopał, nie w piwnicy. Jak narzędzia mam, to nie zginie, a jakbym nie miał, to też byśmy zginęli.

HELENA: Dobrze, że choć tych parę książek znalazłam. Ale gdyby odwalił gruz, co się zawalił z górnego piętra, toby się może znalazło więcej.

OJCIEC: To się odwali. Książki trzeba ratować. Ale ty najwięcej książek masz w głowie. Tego ci nikt nie zabierze, ani żaden ogień nie spali. No i co powiesz, twój ojciec, choć sam głupi, lepszy ci majątek dał, że cię uczył, niż gdyby pieniądze ciułał.

HELENA: Kto powiedział, że ojciec jest głupi? Ojciec jest najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam.

OJCIEC: Ba, gdyby mnie rodzice uczyli, to może i byłoby co ze mnie.

HELENA: Nie potrzeba niczego lepszego niż teraz. No, hierzmy nasze matulki i w drogę.

OJCIEC: Czekał Heluś, posiedźmy. Już ja nie taki jak dawniej. Zmacham się, cały dzień robiłem. Posiedźmy tu chwilę, przed domem jak dawniej, kiedy byłaś mała. Teraz już jesteś duża i domu nie ma i miasta nie ma, a my sobie posiedźmy.

(Stadają)

HELENA: Cężyko strasznie patrzeć na to wszystko. Stara się człowiek nie myśleć, ale potem aż chwytła za gardło. Całe miasto, cała Warszawa... Można się jakoś pogodzić ze swoim osobistym nieszczęściem, ale z tym?

OJCIEC: I na co ci się przyda, jak się nie pogodził? Mus i już. Z człowiekiem możesz się nie pogodzić. Z Niemcem na przykład, to się z nim walczyło, ale ze śmiertelą, ze zniszczeniem, z powiatem, ogniem, wojną, pogodzić się trzeba. A jedyną niepogodzenie się, to się nie dać. To grunt. Przeżyło się, no to trza zaczynać na nowo i już.

HELENA: Chce się ojcu zaczynać na nowo?

OJCIEC: Może i nie chce, to i co z tego, kiedy trzeba. Co tam nasze chęci, czy niechęci. Jak dom spalony, to trzeba go postawić na nowo. Tu się mędrkowanie na nic nie zda.

HELENA: A jak ktoś zginął, to się go nie wskrzesi.

OJCIEC: A nie. Kto zginął, to już odpoczywa, kto żyje, musi się trudzić. Roboty jest tyle, że nawet czasu na myślenie nie będzie, a na zmartwienie praca też poradzi.

HELENA: Nigdy już nie być szczęśliwą, nigdy już nie zobaczyć tego miasta, ani tych ludzi, matulki, Stacha...

OJCIEC: Zobaczysz jak zamkiesz oczy i o nich pomyślisz. Zawsze będą z tobą. Im lepiej, jak nam. A miasto... miasto się odbuduje.

HELENA: Co też ojciec! Warszawy odbudować nie można. Zniszczenie jest zupełne.

OJCIEC: Co ty mówisz! Jakże może być Polska bez Warszawy! Nie może tak być, żeby szkopy postawili na swoim. Będzie Warszawa, zobaczysz!

HELENA: Uprząż gruzu i reparacja przewodników, kanalizacji, elektryczności, wody, będzie tyle kosztowała, że lepiej się optać zbudować gdzieś dalej inne miasto.

OJCIEC : A tybyś chciała, żeby ci dano innego ojca, choćby ładniejszego i uczeszszeo, niż ja ? My chcemy Warszawa, a jak tytu ludzi chce jednego, to nie bój się, już się spełni.

HELENA : Ojca to nie potrafi zlamac.

OJCIEC : Ani ciebie, boś ty moja córka. Straciłsmy mamę i Julkę i ty swego Stacha, straciłsmy wszystko, cośmy mieli, ale mamy siebie i ręce do pracy i ty swoją mądrą głowę. Jesteśsmy bogacze, Heluska.

HELENA : Rozmawiałam tu z jednym młodym mężczyzną, zanim ojciec przyszedł. Bił się w Mokotowie, a tu mu zaspalał żonę. Zdaaje się, że bardzo ją kochał. Dużo mówił o samobójstwie.

OJCIEC : A tyś mu powiedziała, że to wstyd.

HELENA : Nie, o wstydzie nie mówiłam, tylko, że mu nie wolno, bo ma dziecko. Zresztą on to rozumie.

OJCIEC : A i o wstydzie trzeba było powiedzieć. Tam na Mokotowie nie uciekał pewno przed kulami, co ?

HELENA : Nie wyglądał na takiego.

OJCIEC : Przed śmiercią nie uciekał, to i przed życiem uciekać nie wolno. Taki sam wstyd. Swoje trzeba robić, jak na wojnie i tchórzycy nie wolno. I tobie, Heleniu, też nie, pamiętaj!

HELENA : (*z nagłym szlochom przypada do jego ramienia*) Ale ja też czasem nie mogę, już nie mogę wytrzymać. Bo to nawet, poskarżyć się, opowiedzieć nie można. Żeby to tylko ból znosić, choć najgorszy, ale takie wspomnienie... Taka hańba, wstyd i ohyda, ohyda ! Jak ja mogę żyć...

OJCIEC : Musisz, Heluska, musisz. A hańby i wstydu nie ma żadnego. Nieszczęście nieszczęściu równe. Nie rozpaczaj, nie wspominaaj. A za parę dni przyjdę tu z narzędziami i wyszykuję jaką budkę. Ty będziesz sprzedawała zupę ludziom, pewno chętnie kupią, bo to zjedniakę, zziębniętę. A ja za budkę będę sobie szykował warsztat.

HELENA : Tu w tym umarym mieście warsztat ? Co ojciec mówi !

OJCIEC : A co ty myślisz ? Zobaczysz jak będzie potrzebny. Dostyś lamentów. My nie tacy, żeby się poddać. Trzeba się brać do pracy. (*Wychodzi*).

Koniec aktu pierwszego

AKT II.

(Scena przedstawia tę samą panoramę zburzonej Warszawy, ale na pierwszym planie pewne zmiany. Jedynie i chociaż częściowo wprężnięte z gruzu. Najbliższy rany budka drewniana z jedną ścianą nieistniejącą, tak że wnętrze jej jest widoczne dla widzów. Tam improwizowany bufet, kuchenka żelazna t. zw. „kozł”, na której duży garniec i czajnik. Trzy miniaturowe stoliki i czajniki. Za bufetem Helena. Spalona kamienica po prawej ma już jedno z górnych okien labite dykta, częściowo osakłone. Na dole w wypalonym sklepie kręgiła się stolarz, ojciec Heleny, ściga jakieś deski i belki, coś piliuje, przycina. Zresztą widać go tylko czasami. Na ulicy siedzi na stołeczku przykucnięta panusia z koszem pieczywa i woła od czasu do czasu : „Swoże bułki, świeży chlebek!”)

(Helena mieszka w garnku, dolewa z kubka wody do czajnika, porządkuje w bufecie. Wchodzi Antoni zmęczony, z ciężkim plecakiem. Siada na stoliku).

Scena I.

ANTONI : Czy mógłbym dostać kubek kawy, ale bardzo gorącej.

HELENA : Słodzonej, czy nie ?

ANTONI : Nie, skądże. Takie luksusy i Jeszcze się wojna nie skończyła.

HELENA : (*podaje*) Są tacy, co tu przychodzą i nie tylko piją słodzoną kawę, ale żądają szynki, a nawet narzekają że kawioru nie ma, że na Pradze łatwo o kawior.

ANTONI : Zartuje pani. Któż może mieć dziś pieniądze ?

HELENA : Są tacy, co je mają.

ANTONI : Czuję, że ja do takich nie będę nigdy należał (*pije, pauza*). Ale pani osiodziła !

HELENA : Będzie się liczyła jak niestoszona. Nie ma o czym mówić. Jak się państwu mieszka w tym domu ?

ANTONI : Ano, gniewamy się w czworo w jednym pokoju, sypialny na podłodze, bez ścianików oczywiście. Na szczęście dla kolegi znalazło się kózko, kupiłem worek papierowy na wsi i napchałem go pierzem znalezionym w piwnicach. Pien. z błotem i kawałkami węgla oczywiście, ale to już trudno. Ma luksusowe posłanie.

HELENA : Pana kolega to ten kulawy, prawda ?

ANTONI : Gdybyż tylko kulawy ! On ma przetręcony kręgosłup i władzy w jednej nodze nie odzyska nigdy, a z drugą też jest słabo.

HELENA : Okropne nieszczęście !

ANTONI : Tak, zwłaszcza, że to był świetny sportowiec. Dla niego ten bezruch jest szczególnie ciężki. Jabyń to latwo zniósł i kto wie, czy nie byłoby mi przyjemnie leżeć cały mi dniami, mieć dużo książek koło siebie, żeby ktoś inny troszczył się o wszystko. Matka, mieć matkę i jak najmniej widywać ludzi.

HELENA : Dziwne pan ma marzenia, jak na młodego człowieka.

ANTONI : Och, proszę pani, ja nienawidzę użerania się z ludźmi, nie cierpię tłoku, nie umiem rozrychać się łokciami, jestem typowy niedołęga, mój książkowy, typik od pisania wierszy, tak zwany poeta. Tymczasem muszę codziennie jeździć firmankami, kolejkami, zdobywać żywność, dzwigać i handlować. Gdyby nie to, że najwięcej sprzedaje pani, która mnie nie oszuka, wyobrażam sobie, jakbym wyszedł na tym interesie.

HELENA : Co pan przywłózi ?

ANTONI : Słoninę, cukier (*wyjmując paczki z plecaką*). Potem odważymy, jestem okropnie zmęczony. Tu tak ciepło, a ta kawa tak mnie rozmarzyła.

HELENA : Zbożowa kawa ! Ale swoją drogą, czemu pan sobie żąda cukru, skoro pan nim handluje ?

ANTONI : No nie, cukier potrzebniejszy Jackowi, który ma mocno nadwyrężone serce i starszym paniem, z którymi mieszkam. Ja jestem zdrowy, mogę jeść byle co, tylko jestem leni, niedołęga, nie lubię się ruszać, walczyć, nie lubię brudnych ludzi, cuchnących wódką i tak dalej. Zresztą na te jęki pozwałam sobie tylko wobec pani, pani działa na mnie jał. koś rozmiekcza jąco. I taki jest człowiek sprężony jakiejś ludzkiej rozmowy, książki, a tu nic, tylko czy puszczają na Pragę, czy nie puszczają, komu się udało wyszabrować garnek czy trochę węgla, gdzie dostać kartofli, co jeść, jak jeść,

gdzie jeść i że nie ma co jeść. Ale jeżeli chodzi o węgiel, muszę przynieść do domu, widziałem przy sąsiedniej ulicy w piwnicy jest go dużo.

HELENA : Przynieście pan i mnie trochę ?

ANTONI : Naturalnie, choć zastzegam się, że nie znoszę dźwigania.

HELENA : No to nie trzeba.

Antoni : Kiedy to i tak wszystko jedno, bo cały dzień nie robię nic innego, tylko dźwigam. Ma pani jaki worek, nie ? no to to dziurawe wiadro (*wychodzi*). Wody przyniosę później.

Scena 2.

(*Wchodzi Anieli z ciężkim workiem na plecach, w rękach trzyma wielką tafię szklaną*)

ANIELA : Dzień dobry pani ! (*jest tak zmęczona, że trudno jej mówić, kładzie pieczotowki swoje ciężary, spada. Obrus wyzerpania*).

HELENA : Cóż to pani za skarb zdobyła ?

ANIELA : (*ożywia się*) Widziała pani ? (*woskanie szybę*) Szłam na Pragę, jak codzieln i lunął deszcz, schowałam się w jakiejś rozbitnej kamienicy i nagle widzę cud : leży rama a w niej zupełnie cała szyba. I teraz rozumiem pani : jak wyjąć szybę, żeby nie pękła. Znalazłam kawał jakiegoś starego żelastwa i zaczęłam powoli oddubywać kit. Zajęło mi to ze dwie godziny, ale zrobłam to genialnie, niech pani spojrzy, szyba cała ! Tylko, że musiałam ją potem dźwigać aż na Pragę, bo się bałam, żeby mi kto mego skarbu nie ukradł. Na targ przyszedłam za późno, bałam się wchodzić w tłok, żeby mi szyby nie stłukli i w rezultacie nic nie sprzedalam.

HELENA : Czyż pani właśnie handluje ?

ANIELA : Miałam trochę fachów u znajomej na wsi, to i ocalały, dziś to sprzedaje. Antos, wie pani, ten co pani wstawia słoninę, ma sporo ubrań, nie był w Warszawie podczas powstania, więc można go uważać za bogacza, też mu sprzedaje jego rzeczy. On znów uzyskane pieniądze obraca na handel żywnością i właśnie wie żyjemy z niego.

HELENA : Właśnie przed chwilą narzekał, że jest straszonym niedołęgą.

ANIELA : Dziękujemy Bogu codzieln za tego niedołęgę. No, gdyby był sprytny, tobysmy się mieli wszyscy zupełnie dobrze, a tak ledwo żyjemy. Ale to nadzwyczaj dobry chło-

prak i ma większe wartości niż spryt. Pisze silczne wiersze. Trudno, handel i zdobywanie pieniędzy, to nie dla tego typu ludzi, co my.

Scena 3.

(Do budki wchodzi przechodzień też z kadunkiem, siada przy dalszym stoliku, zamuawia wódkę i kiebasę).

PRZECHODZIEN : Może pani ma złoto, dolary, kupię, sprzedam.

ANIELA : (ze śmiechem) Panie, czy ja wyglądam na taką, co ma złoto, dolary ?

PRZECHODZIEN : Nigdy nie wiadomo. Dziś się człowieka po ubraniu nie pozna. Co pani ma w tym plecaku ? Ciuchy ?

ANIELA : Tak, różne ubrania.

PRZECHODZIEN : Garnitur męski pani ma ?

ANIELA : Owszem.

PRZECHODZIEN : Ale musi być czysto angielski materiał, jednorzędówka, właściwie byłoby lepszy blesz, bo idzie do lata, ale może być i przedwojenny marynarkowy.

ANIELA : Właśnie coś takiego mam dla pana.

PRZECHODZIEN : Moja panusiu, mnie się nie nabierze, bo ja się znam.

ANIELA : Nie mam zamiaru pana nabierać.

HELENA : Może pan przymierzyc za moją budką, tam nikt pana nie zobaczy.

PRZECHODZIEN : (do Heleny) Tylko niech mi tu plecak nie zginie.

(Przechodzień z Anielą wychodzą).

Scena 4.

(Wchodzi Maria, czarno ubrana. Siada przy stoliku)

MARIA : Poproszę zupę, jak zawsze, tylko umówiłam się z moją towarzyszką, więc zaczekam, jeśli pani pozwoli.

HELENA : Ta pani już tu jest, tylko akurat u mnie znalazła kupca na garnitur, więc poszła z nim za moją budkę, żeby przymierzyc. To zdaje się bardzo dzielna osoba.

MARIA : Bardzo dzielna. Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili, ja i syn. Ona i Antoni o wszystko dbają, zdobywają miejsce mieszkalne.

HELENA : Zdaje się, że się państwo nieźle urządzili.

MARIA : Ja sama wprost w to nie wierzę, że jesteśmy u siebie. Ale swoją drogą, gdyby nie pani ojciec, który zdo-

24

był dzwili i wykombinował filtry do okien, niiby z tego nie było. A jeszcześmy mu nie zapłacił.

HELENA : Nie ma o czym mówić. Zapłać państwo później, ojciec chętnie zaczeka.

MARIA : Gdyby ojciec miał wszystkich takich klientów jak my...

HELENA : Ale ma różnych. Od tych co mają ojciec potrafi brać pieniądze. Ale od sąsiadów i od kolegi z akcji ? Przecież ojciec też się bił. Ojciec naprawdę w ogóle od państwa nie weźmie ani grosza.

MARIA : (setywana) Pani wie, że ja się nigdy na to nie zgodzę.

HELENA : Właśnie idzie ojciec.

Scena 5.

(Wchodzi ojciec-stolarz)

OJCIEC : Dawaj-no córkucho zupy, bo mi kieszki grają marsza. (Do Marii) : Dzień dobry pani (siada przy sąsiednim stoliku, je).

MARIA : (wciąż jeszcze setywana) Właśnie mówiałam pani Helenie, że panu jestem wciąż winna za te dzwili i filtry.

OJCIEC : A czy ja komornika przysyłam do pani ?

MARIA : No nie, i ja jestem panu ogromnie wdzięczna, ale teraz, zdaje się, znajoma sprzedaje garnitur mego syna, który na szczęście uratowałam. Zaraz chciałabym uregulować.

OJCIEC : A jak pani nie ureguluje, to się też ziemia nie zapadnie, bo już się zapadła pod nami.

MARIA : Ale, proszę pana, to niemożliwe, ja...

OJCIEC : Panusiu, jak nam się miasto w oczach do góry nogami przewróciło, to musimy z tego jakieś nauki wyciągnąć. Wszystko się odmieniło, a my się mamy nie odmieniać ? Trochę mniej dumy, pani kochana. Musimy być ludźmi i sobie nawzajem pomagać.

MARIA : To okropne, że zewsząd muszę przyjmować pomoc. Zawsze byłam niezależna i ja pomagałam innym.

OJCIEC : A dziś inni pomagają pani i jest sprawa, a gdzie ? A że pani była niezależna, to się tylko tak pani zdawało. Zawsze jesteśmy od kogoś zależni, a teraz w tej dziedzinie to się to tylko więcej czuje. To i dobrze. Jak ludzie oczują na własnej skórze, że są zależni od siebie, to poczną

3

25

też że są związani, że stanowią jedno bractwo. A tak powinno być. Ja nie uczony, nie umiem dobrze powiedzieć.

MARIA : Ale i ja chciałabym państwu coś dobrego okazać, nie tylko ciągle przyjmować.

OJCIEC : Przyjdzie i dla pani taka chwila, tylko kiedy, nie wiadomo. A jak nie mam, to okaże to pani innym. Jak człowiek poczuwa się do długu, to go zawsze kiedyś, komuś spiaci. Choćby ta moja córka. Zawsze mówiła : Ja się tylko uczę, a ty tak ciężko na tę moją naukę pracujesz. A dziś tylko pracuje na mamie, bo ja jeszcze wiele nie zarobię. No i dług spłacony. Jedno mam zmartwienie, że ona taka uczona, a musi kapuśniak sprzedawać. Ale i to minie, przyjdzie i czas dla niej.

Scena 6.

(Wraca Aniela z przechodem)

PRZECHODZIEN : Plecak nie zginął ?

HELENA : (zimno) U nas nie nie ginie.

PRZECHODZIEN : To jeszcze nie wiadomo. Wódki (przytłumione) przy bufcie. Aniela siada z Marią, rozmawiają po cichu, jedzą.

HELENA : Dziękuję, nie.

PRZECH : Co panna taka dumna. Ja forse mam. Stawiam i panience kielszek. Napijmy się.

HELENA : Dziękuję, ja nie piję.

PRZECHODZIEN : E, jakos panna nieczuła, widać, że cię jeszcze ładny chłopiec nie wycalował, jak się należy (nachyla się przez kontuar, obejmuje za ramiona).

OJCIEC : Panie, panie, odstaw się, ale już ! (chwytając ją za rękę, popycha w stronę drzwi). Już pana tu niema i możesz nie wracać.

PRZECHODZIEN : Co za granda. Plecak mi chcę ukraszać (chwytając plecak). Ja myślałem, że to inteligentne ludzie, a to chaństwo. Ja tu milicję prowadzę (wyrazucone jeszcze wymszła na ulicy).

Scena 7.

(Maria, Aniela skonczyły jeść)

ANIELA : Co z Jackiem ?

MARIA : Niedobrze, dziś znów miał zły dzień. Tak się do brzo trzymał, a teraz się załamiał.

ANIELA : Kiedy wychodził, spał jeszcze.

MARIA : Tak, trochę lepiej może sypia. Ale te krzyki po nocach. Boże, jakie to okropne ! Jak on się męczy ! Nie dość już, jeszcze sny go dręczą. Co za nieszczęście, żeby on co noc musiał jeszcze przeżywać tę okropną Starówkę i tego trupa obdartego ze skóry, który wyleciał w powietrze i nakrył go sobą i tę wędrowką kanałami ze zranioną nogą. Przecież w nocy on jest zupełnie ośląkany. Czy to nigdy nie minie ?

ANIELA : Musi minąć, wszystko minia, człowiek się do wszystkiego przyzwyczaja. Jeżeli my obie możemy głośno nie krzyczać z naszego bólu, jeżeli możemy żyć, to znaczy, że można wytrzymać wszystko i przystosować się do wszystkiego. Zresztą drobne małe rzeczy zasympują jak piachem płomien cierpienia. Obie jesteśmy potwornie nieszczęśliwe, a jednak odprężamy się, siedząc tu spokojnie, w ciepłe, zaspokoiwszy choć trochę głód. Małe zwierzęce przyjemności, które na chwilę sprawiają ulgę w męce. I tu przynajmniej możemy porozmawiać trochę samę, bez chłopców, żeby im nie zagoryczać i tak ciężkiego życia.

MARIA : Tak, ten ciągły przynus wobec Jucka, ta imitacja usmiechu, jaką sobie trzeba przykleić do ust, to udawanie, że się nic właściwie nie stało i że wszystko będzie dobrze !

ANIELA : No, w każdym razie musi być lepiej. Gorzej być nie może.

MARIA : Wiesz, ty jesteś bardzo kochana i jesteś mi wielką pomocą, nie wiem jak bez ciebie i bez Antosia dałabym sobie rady. Zwłaszcza bez ciebie, jest w tobie taki spokój. Ale nie gniewaj się — zrozumiem, że pytając się myśle tylko o sobie — powiedz mi, dlaczego ty sobie właściwie nie odbierasz życia ? Cierpisz tak strasznie, strachas dzieci i męża, czeka cię tylko bieda, starość i śmierć. Och nie gniewaj się, ja sobie to tak mówię, ja w tej chwili właściwie rozmarwiam ze sobą. Powiedz mi poco się tak męczyć i niezego, niezego nie mieć w perspektywie ?

ANIELA . Ach nie, o samobójstwie nie może być mowy. Przecież ja się chcę spotkać z moimi... z nimi...

MARIA : Będziecie sobie w rajku razem trzepotać skrzydełkami ?

ANIELA : Nie plec. Każdy sobie wyobraza raj zgodnie ze swoim poziomem i wyrobieniem duchowym. Ja wierzę, że życie na ziemi to tylko fragment naszego istnienia i że musimy naszą misję tutaj wypełnić do końca. Jeżeli religia

nasza zabrania samobójstwa, jak większość religij świata, to musi się to na czymś głębszym opierać.

MARIA : Daj spokój, Japończycy w pewnych wypadkach uważają za punkt honoru popełnić harakiri.

ANIELA : Trudno, ja się trzymam nakazów religii chrześcijańskiej. Nie wymyślię nic mądrzejszego i w ogóle nie czuję w sobie danych na fundatorkę nowego wyznania. Odtóż warte w nauce Chrystusa, zabraniają mi popełnić samobójstwo.

MARIA : Chrystus ani słowa nie powiedział na ten temat.
ANIELA : Ale nie popełnił samobójstwa, choć wiedział jaka go czeka męka. Bo jak on musiał wypełnić swoją misję do końca, tak każdy człowiek. Czy wierzysz w Niego, czy nie wierzysz, musisz przyznać, że ludzkość nie wydała z siebie większej, doskonalszej postaci niż Chrystus. Wolno mi chcieć pójść Jego drogą i wierzyć, że jeżeli On ją obrał, to jest to jedyna droga. Przyjając trzeba cierpienie i dźwigać je tak długo, póki to przeznaczone.

MARIA : Być może. Ale nie gniewaj się na mnie. Nasza rozmowa tylko dlatego jest warta straty czasu, którego mamy obie tak mało, że jest absolutnie szczerą : uważam, że ja i wiesz bardziej nieszczęśliwa od ciebie. Tyś straciła dzieci no ci zrobić ze sobą co zechcesz. Ale ja muszę patrzeć co-dzień na mękę mego dziecka. Wiesz dobrze, że Hankę więcej kochałam, była mi bliższą. Ale choć z początku ból po jej stracie był nie do wytrzymania, i naprawdę nie rozumiem jak moje serce, zupełnie fizycznie, to zniósło, jednak teraz dotkliwsza jest dla mnie męka Jacka. Pomyśl co z nim będzie, pomyśl co nas czeka.

ANIELA : Przyznaję, że jesteś nieszczęśliwsza ode mnie, bo ja już już z drugiego brzegu patrzę na wszystko, a ciebie jeszcze na tym brzegu trzyma męka twego dziecka.

MARIA : My obie jesteśmy już niemłode, po takich przeżyciach napewno żyć długo nie będziemy, ale on ma tyle jeszcze lat przed sobą. Tyle takich lat.

ANIELA : Twoją rzeczą jest pomóc mu dźwigać ten krzyż i sprawać, żeby wydobyl z cierpienia maximum dobra, jakie ono może dać duszy.

MARIA : To frazes. Przepraszam cię, wiem, że ty nie mówisz frazesów, jesteś na to za bardzo nieszczęśliwa, ale dla ciebie te słowa coś znaczą, a dla mnie nic, albo nie wiele.

ANIELA : Dobrze, ale znów z twojej strony to są dość jasne lamentacje. Cóż więc proponujesz, jakie wyjście ?

MARIA : No tak... rozumiesz... jego i siebie..

ANIELA : Pytałaś jego, czy chce ?

MARIA : No tak... z omówieniami.

ANIELA : Chciał ?

MARIA : Nie.

ANIELA : A gdyby chciał, potrafiłabyś to zrobić ?

MARIA : Może...

ANIELA : Nie, skoro to mówisz, musisz przemysleć całą sprawę do końca. Wyobrażasz sobie wszystko dokładnie : wziąć rewolwer, nie, rewolweru nie zdobędziesz, więc wziąć truciźną, wysypać mu i patrzeć, jak to wypija. Tak ? Mogłabyś ? A potem patrzeć czy podziała i nie zawsze podziała i może się będzie nieczył i może będzie krzyczał, że chce żyć. Mogłabyś ?

MARIA : (z jękiem) Nie.

ANIELA : Więc pocóż o tym mówić, poco w ogóle na ten temat myśleć. I jeszcze jedno : miałabyś ochotę po przeżytych przyzwolenie życiu zejść ze świata, jako morderczyni ? A jeżeli, choć w to nie wierzysz, zdajemy potem sprawę ze swych postępów ?

MARIA : O mnie mniejsza. Mnie moja osoba wcale nie interesuje, na tym czy na tamtym świecie. Mnie chodzi o niego.

ANIELA : Jego kalectwo nie umożliwiła mu pracy umysłowej, a wiesz jaki jest zdolny. Pomóż mu.

MARIA : Tak, ale on się zadreca, że jest mi ciężarem i tym, że Hankę zawsze kochałam więcej, więc zatem cięższy jest dla mnie ten ciężar.

ANIELA : Więc mu dowiedz, że chore i słabe dziecko jest bliższe sercu matki, niż piękne i efektowne, takie jak Hanka.

MARIA : To nie jest prawda.

ANIELA : Hanka prędkoby odeszła od ciebie, zabraloby ci ją życie. Jackowi jesteś potrzebna, więc jest bliżej twego serca i będzie coraz bliżej. On musi to zrozumieć, a co ważniejsze, odczuć. To twój obowiązek.

MARIA : Tak.

ANIELA : I tak grzeszysz, Mario, tak grzeszysz. Nie rozumiesz, że jest jeszcze dla ciebie odrobina szczęścia na ziemi, a dla mnie już wcale.

MARIA : Ale jesteś wolna, mogłabyś się porozumieć i tak

sobie pozwolić umrzeć, bez truciizny, tak sama z siebie, jeżeli i czekać na śmierć. Często o tym marzę.

ANIELA : Nie, moja droga, póki jest choć jeden czarno mi połóżyc się i zamrzeć. Teraz jestem potrzebna tobie, bo nie dałabyś sobie rady w piekielnych trudnościach naszego życia i Antosiewi, który jest taki samotny.

MARIA : To prawda.

ANIELA : (weselo) Wobec tego, chociaż jesteśmy już stare baby, albo powiedzmy panie w sile wieku, mamy huk roboty. Więc ty bierz swoje ciastka, ja swoje chupy, jak to jaś dzisiaj mówi i każda w swoją stronę. A teraz popatrz, jaką wspaniałą szybę zdobyłam, i jak będzie jasno w naszym pałacu, kiedy ją wprawimy zamiast dykty.

MARIA : Wspaniała. Jacek się ucieszy.

ANIELA : A widzisz ?

(Biorąc swoje rzeczy, wychodzą. Helena rozmawia cicho z ojcem.)

Scena 8.

(Na ulicy pojawiają się Alojzy i Francka, elegancko i prześladnie ubrani, kumpują budki w koszyku)

ALOJZY : Nie wiesz pani, czyja jest ta budka ?

WALERKA : A tam jedyny.

FRANKA : Trzyma żywność, powiadam ci, że tu się nie opłaci spożywczego zakładać.

ALOJZY : A ja ci powiadam, że w tej karmienicy można wyszykować sklep pierwszoklasny. Wyprawić, okna wstawić, Górą pewno nie zacieka, a jak nie, to dać kawał blachy, mało to żelastwa na mieście ?

FRANKA : Może z tą z budki pogadać i też budkę wyśtawić.

ALOJZY : A już. Dobrze ci poradzi. Ja ci mówię, że to lepsze jak budka i wiatrak tak nie będzie świstał.

(Oglądając krytycznie kamieniec)

WALERKA : To państwo sklep tu będą robić ?

ALOJZY : Jak nam się spodoba.

WALERKA : A to dużo pieniędzy trzeba.

FRANKA : A może lepiej budkę ?

ALOJZY : Mówię ci sklep. Widzisz tu już jakiś jeden lokal zajął. Stolarz czy co ?

30

WALERKA : (solemnie) Warszawa stolarski.

ALOJZY : Dobra jest. Mamą już majstra na miejscu.

Scena 9.

(Ojciec Heleny wychodzi z budki)

WALERKA : A to właśnie ten.

ALOJZY : Panie majster, chodźno tu pan. Będzie dla pana robota. Sklep będziem robić.

FRANKA : Dwa sklepy. Ja chcę mieć też galanterię.

ALOJZY : Mówię ci, że słonna i bimber lepsze.

FRANKA : (kapyświe) Ja chcę mieć galanterię.

ALOJZY : Głupia, kto od ciebie kupi galanterię w tych ruinach ?

FRANKA : Co ty myślisz, tu zawsze będą ruiny ? Ja chcę mieć ładny sklep, jak nie galanterię, to perfumierię. Co ja w tym futrze mam słoninę sprzedawać ? To takie chamskie nasienie ten mój chlop, co on tam wie.

ALOJZY : Tylko nie nasienie, tylko nie nasienie, ty stara cholero.

FRANKA : Tylko nie stara ! to ja jestem stara, ja ? Ty mi tu od starych nie wyzywaj.

OJCIEC : Dobrze, dobrze, moi państwo, mogą być i dwa sklepy, o co tu się kłócić.

ALOJZY : Mogą być i dwa, pientądze są. Ale co pan myślisz, ludzi tu przybędzie, bo komu tu się będzie targować ?

OJCIEC : Pewno, że przybędzie, ciągle przydywa.

ALOJZY : Bo widzisz pan, mądre ludzie mówią, że tych gruzów się nie opłaci uprzętać, że zaczęłby wodę czy światło przeprowadzili, to dzisiaj lat uplynie i że tu chyba tylko wariaty mieszkać mogą.

OJCIEC : A bo Warszawiaci są wariaty i strasznie twarzą naród. Ich to ani ogniem ani wodą. I jak koty ciągną do swego miejsca. Patrz pan, wiele się tu tego nagnieżdżyło po ruinach, po gruzach, po piwnicach. Kto może, to dęgnie deski, albo dykty kawał, albo papę, albo blachę, nie wiedzieć skąd i tę swoją norę kleci, a lepi, a oczyszcza. Rząd mówi, że Warszawa ma być odbudowana, a każdy Warszawa-wiąk myśli to samo i na swoją rękę co może to robi. Zakładaj pan swój sklep, że na tym nie wyjdiesz, tylko z ludzi skóry nie drzyj. Rób na ten przykiad, jak moja córka.

(Wskazuje ręką na budkę)

ALOJZY : To pańskiej córki ? Dobrze targi ?

31

OJCIEC: Et, ona za trzy zupy weźmie pieniądze, a dwa za darmo odda. To samo i z czym innym.

ALOJZY: Znaczą się do handlu zdolności nie ma.

(Wchodzi w trójkę w grób wygalonego sklepu i omawiają, jak wydać z gestów, jego przysięże urządzenie).

Scena 10.

(Tymczasem do budki wchodzi Jan z ciężkim pakunkiem, jak uszyscy. Zamawia kawę, chleb. Helena podaje. On podnosi głowę, poznaje).

JAN: (głuchym głosem) To pani?

(Milczenie)

JAN: (trwoczenie) Widzi pani, nigdyśmy się już w życiu nie mieli spotkać. Okazuje się, że to w Warszawie nie łatwo, zarówno dawniej, jak teraz.

(Helena sprząta ze stolików)

Dlaczego pani nie nie mówi? Dawniej była pani bardziej wymowna, choć mniejszy się znali.

HELENA: Dawniej znałam pana bardzo dobrze, teraz nie znam pana wcale.

JAN: Nie rozumiem.

HELENA: Dawniej miał pan na imię „człowiek nieszczęśliwy”, więc wiedziałam jak do pana mówić. Dziś jest pan jednym z gości, który przychodzi do załupniwanego baru — jest pan nieznanym, nie więcej.

JAN: Myśli pani, że jestem dziś mniej nieszczęśliwy, niż dawniej?

HELENA: Nie wiem, to do mnie nie należy.

JAN: Jest pani jakaś dziwnie wroga. Nie chce pani kontynuować naszej znajomości?

HELENA: Nasze zetknięcie się wtedy na ruinach nie było znajomością, było czyns mniej i czyns więcej jednocześnie. To się skończyło.

JAN: To szkoda. Bo mówiąc szczerze, szukałam pani, wbrew temu co mówiłam poprzednio, nie mogłam pani dłużej go znaleźć.

HELENA: (obojętnie) Tak, tę budkę otworzyłam dopiero tydzień temu.

JAN: Właśnie, szukałam tutaj i tak wprost łazikiem po ulicach, myśląc, że panią spotkam. Potem wyjechałam do Krakowa i kiedy zupełnie o tem nie myślałam, spotykam panią tutaj.

(Helena siedzi z robotą, milcząc)

Wtedy została mi pani w pamięci, jak uosobienie jakiejś duszy siostrojanej, która ogrzała mnie na chwilę. A dziś jest pani obca i wroga.

HELENA: Wroga — nie, obca — tak.

JAN: Ale niech mi pani wytłumaczy tę subtelną różnicę między „człowiekiem nieszczęśliwym”, którym byłem wówczas, a nieszczęśliwym człowiekiem, którym jestem teraz.

HELENA: To dosyć trudno. Wtedy sprawił pan na mnie wrażenie tonącego. Poczułam nagle, że jeżeli panu jakoś nie pomożę, to pan zginie. Dziś pan mocno stoi na brzegu, to się czuje. Znalazł pan dziecko?

JAN: Tak i wszystko się tak stało, jak zapowiadałam. Wygłupiam się do małej w najrozmaitszy sposób i choć ona grzechotek już nie używa, muszę jej majstrować inne zabawki. Jestem rozkoszny w roli niaki.

HELENA: Już ją pan kocha.

JAN: Mówi to pani, jakby tonem zawodu. Nie bardzo rozumiem.

HELENA: Przeciwnie, bardzo się cieszę, ma pan cel w życiu, jest pan uratowany. Czy panu co jeszcze podać?

JAN: Może jeszcze kawałek chleba.

(Milczenie)

JAN: Widzę, że przestałam być dla pani interesujący. Za dobrze mi się powodzi. Mam ocaloną cudem kuchenkę w rozbitym domu, jeden siennik, palto do okrycia siebie i dziecka, właśnie to dziecko, z którym nie bardzo wiem co robić i żadnej pracy, żeby zarobić dla nas dwojga. Taktemu szczęściarzowi i kreznosowi nie warto poświęcać uwagi.

HELENA: Co też pan mówi. Gdybym się mogła panu na co przydać, byłabym bardzo szczęśliwa, ale cóż ja mogę dla pana?

JAN: (cicho i gorzko). Niech mnie pani nie odrzaca, jestem przerażliwie samotny.

HELENA: Nie ma o tym mowy. Tylko pan ma ton taki ironiczny, myśląc, że mnie pan nienawidzi za to, że pan wtedy ze mną tak szczerze rozmawiał.

JAN: Trochę panią nienawidziłam wtedy, ale za to, że pani znikła. Nie wolno z człowieka wyciągać duszy, a potem ją cisnąć na bruk i zapomnieć o niej.

HELENA: Jeżeli pan to tak bierze... Przeciwnie, ja za-

szcze wspominałam pana bardzo serdecznie i bardzo pragnęłam wiedzieć, czy pan znalazł dziecko.

JAN : A skąd ten ton zawodu, kiedy o niem wspominałam.

HELENA : Po prostu, poczułam się znów niepotrzebna.

JAN : No, jeżeli o to chodzi, jest mi pani potrzebniejszą niż kiedykolwiek. Co się właściwie robi z dzieckiem ?

HELENA : (uśmiech) No, wie pan.

JAN : No tak, czym się je karmi, jak się je ubiera, co mu trzeba podostać, a nade wszystko o czym się z nim mówi ? I co takie stworzenie ma robić właściwie cały dzień, przecież to nie ma żadnego zajęcia. I gdzie mam ją zostawiać, gdy idę szukać pracy ?

HELENA : Nie ma pan żadnych krewnych, żadnych ciotek ? rzybnym dziecka. Chciałbym, żeby miało trochę radości ze swego dzieciństwa. Sam się wychowałam u starej ciotki i wiem co to za piekło.

HELENA : A cóż pan robi ze swoją małą, jak pan wychodzi. Naprzykład teraz ?

JAN : Zamykam ją na klucz w pokoju, jeżeli naszą nore można nazwać pokojem.

HELENA : Co za barbarzyństwo. Wobec tego proponuję panu coś : niech ją pan przyprowadzi tutaj. Będzie miała na nią oko i będzie mogła się bawić trochę na ulicy.

JAN : Wie pani, że w skrytości ducha marzyłem o takiej propozycji z pani strony.

HELENA : Ale zwracam panu uwagę że to bardzo nieostro. Znie tak powierzać dziecko obcej zupełnie osobie.

JAN : Zaryzykuje. Zresztą nie mam wyboru. Jeżeli ktoś popchnie takie kapitalne gupstwo, jak płodzenie dziecka w czasie wojny, musi ponosić konsekwencje.

HELENA : Czy żąda pan, czy pan żąda, że zostało panu wspomnienie po... po tych co odeszli ?

JAN : (ponuro) Nie. Zapewne. Oczywiście.

HELENA : (gwaltownie) Gdybym ja była miała dziecko ze swoim Stachem, o ileż byłabym szczęśliwsza. Ale wstrętna, kokińska moralność, ohydne cywilne tohórstwo powstrzymały mnie wtedy. Czekać aż do ślubu. No i doczekałam się... ślubu.

(Wzbucho płaczem)

JAN : Co pani jest ? Na miłość boską, co pani jest ? Tak go pani kochała ?

34

HELENA : To nie tylko to, nie tylko to, jest jeszcze coś gorzkiego (uspakaja się żywno).

JAN : Co takiego ?

HELENA : Tego panu nie powiem i niech pan nigdy mnie o nie nie pyta. I niech pan wie, że jestem sto razy nieszczęśliwsza od pana. Pana szczęście jest zburzone, ale może je pan odbudować, a ja nigdy, rozumie pan, nigdy.

JAN : Teraz znów pani sprawia wrażenie tonącej, a ja nie wiem, jak pani pomóc.

HELENA : Mnie to naprawdę nie pomóc nie można.

JAN : A pani sama powiedziała wtedy, że człowiek zawsze może człowiekowi pomóc. I to była prawda, pani mi wtedy naprawdę pomogła. Co mam zrobić ?

(Milczenie)

Przyprowadzę pani jutro rano dziecko, dobrze ?

(Helena kiwa głową)

Nic innego nie potrafię wymyślić. Jestem bezradny, jak tylko potrafi być mężczyzna.

Scena 11.

(Na ulicy pojawia się Antek, ciągnący worek węgla. Odnosi go gierszym piętze się otwiera i wychyla się z niego Jacek)

JACEK : Antek, Antek, postaraj no się gdzieś o diament.

Pani Aniela przyniosła wspaniałą szybę, postaraj się ją wprawić. Tylko pożycz od ojca panny Heleny trochę kitu i diament.

ANTONI : Czekał, zaraz wniósę węgla.

JACEK : POCO masz latać dwa razy ? Co to będzie za szczęście mieć całym widno w pokoju.

Scena 12.

(Antek wchodzi do budki)

ANTEK : Panno Heleno, przyniosłem węgla, elegancko wyszabrowany. Połowa worka dla pani, połowę wniósę na górę. W nagrodę Bóg intelektualistów zesłał mi parę pięknych książek, które się waleśały na tamtym podwórzu.

HELENA : Niech pan pokaze. (przeogląda książki) To „Jawne sprzyśnięcie” Wellsa biorę sobie do czytania na jutro.

ANTONI : Doskonale. Czy nie wie pani, gdzie może być pani ojciec ? Chciałem pożyczyć od niego diament. Słyszała

35

Pani napewno, jak Jacek wrzeszczał. Bardzo się ucieszył z tej szyby.

HELENA: Ojciec jest pewno gdzieś w kamienicy. Zdał się jakiś nowy sklep. I wie pan, chciałam z panem o czymś poszalać w związku z panem Jackiem. Ojciec jedząc obiad słyszał urywki rozmowy, jaką prowadziła pani Maria z panią Anielą. Zrozumiał z tego piąte przez dziesiątą, że z panem Jackiem nie jest dobrze. I wobec tego podsunął mi myśl, czy go tu nie ściągnąć do sklepu. Ojciec twierdzi, że ta przynimania się polepszy, jak będzie czuł, że coś robi, jak będzie widać ludzi i pomagał matce, bo zawsze sobie u mnie coś zrobi. Co pan o tym myśli?

ANTONI: Pani ojciec jest nadzwyczajnym człowiekiem. HELENA: To ja wiem dobrze. Włóć projekt się panu

podobą?

ANTONI: Mnie bardzo, ale trzeba zapytać Jacka. (Antoni wybiega)

Scena 12.

JAN: Kto to był?

HELENA: Jeszcze jeden tonący.

JAN: Ten tutaj.

HELENA: Ach, ten nie. Zresztą, nie wiem, jego może widać o tym, do którego on pobiegł.

JAN: Któż to taki?

HELENA: Osiemnaścieletni chłopak, z przetręconym kręgosłupem.

JAN: Czy takiego warto wyławiać?

HELENA: Niech pan zada jeszcze jedno takie pytanie, a cała nasza przyjaźń się rozwieje.

JAN: Niech pani nie będzie nudnie sentymentalna. Tak

HELENA: Potrafią też wydawać wspominałe owoce. Zwane dobre uczynki potrafią się bardzo mścić.

JAN: Zapewne. Świat jest bardzo uznałcony, tego nie

można mu odmówić.

HELENA: Zresztą, jakikolwiek będzie wynik moich posępków, robię to, co uważam za słuszną, a wynik już nie do mnie należy. Zresztą jestem w tej sytuacji, że nic mi innego nie pozostaje w życiu jak t. zw. dobre uczynki.

36

JAN: To znaczy, że rezygnuje pani z życia osobistego?

HELENA: Najzupełniej.

JAN: Z miłości?

HELENA: To napewno.

JAN: Taką święcką zakonnicą?

HELENA: Coś w tym rodzaju.

JAN: Ale cóż to ma za sens w pani wleku z pani urzędą? Zresztą myli się pani z wszelką pewnością, myśląc, że wszystko dla pani skonfuzone. Przeszłam w ogóle cokolwiek rozumieć na tym świecie, odkąd widzę ludzi okaleczonych fizycznie i moralnie, samotnych na grobie swoich najbliższych, którzy jednak mogą żyć, żyją, żyją intensywniej! Co mówię, gdybyż to tylko ludzie! Ale miasto, niech pani spojrzysz na to miasto! Zdawałoby się zburzone, spopielone, same zgłiszczona. Czy pani pamięta ten dzień, kiedyśmy się poznali? Zdawało się, że to symbol zagłady, pustynia, po której błąkają się bezradnie kompletnie zniszczeni ludzie, skazani na wymarciu. A tymczasem życie mimo wszystko jest mocniejsze. Nie wiem, czy pamięta pani jeden taki dzień? Kiedy dał 10-dowaty wichur, nie wicher, tylko huragan. Ludzie chronili się, gdzie kto mógł, wcale ich prawie nie było widać. Wicher homotał porzywanymi dachami, jakimś drzwiami w zdruzgotanych domach, cegły z trzaskiem spadały na ulicę. W moich oczach wywalilo się parę spalonych kamienic. Nawet podczas powstania nie było takiego hałasu. Jakis piekielny zgiełk. Każdy dom hucał, homotał, zgrzytał, jęczał. Tak wyglądała zagłada, krzyżująca zagłada. A następnego dnia wiatr uciął, ludzie wypelzili zewsząd i zaczęli nosić, ciuć, ulepiać, stawić, dźwigać, dźwigać, każdy w tym miście coś dźwiga na plecach. Życie mimo wszystko. Życie mocniejsze niż śmierć, jeżeli chce być poetycznym. Życie mrowiska, równie wzniosłe i równie bezcelowe, jeżeli spojrzeć na to bardziej przyrodniczo.

Scena 14.

(Wpada Antek. Od progu)

ANTONI: Jacek dziękuje. Chce, oczywiście chce. Dostał wypleków. Nie wie czy się nada. W kasie może oczywiście siedzieć i sprzedawać to co na ladzie. Tylko, że mu przykro, takie zobowiązanie...

HELENA: Dostyc, już dostyc i nie ma o czym mówić. (Do Jana) Widzi pan, życie mimo wszystko. Za wszelką cenę żyć. Wszystko co jest życiem.

4

37

JAN : Pani, zdaje się, kiedyś mówiła, że życie jest piękne ?

HELENA : I mówię to dalej.

JAN : Nawet dla osoby skazanej wyłącznie na dobre uczynki ?

HELENA : Tym bardziej.

ANTONI : O czym państwo mówią ?

HELENA : Ach, możecie się panowie zapoznać, przy okazji. Jesteście przecież moimi przyjaciółmi. Pan Antoni Zylcecki, pan... Jak się pan nazywa właściwie ? Przecież ja nie o panu nie wiem.

JAN : Wie pani o mnie rzeczy najważniejsze. Jestem Jan Barczak, inżynier.

ANTONI : Pewnie pan będzie pracował przy odbudowie Warszawy ? Jak ja panu zazdroszczę.

JAN : Właśnie obiecano mi posadę w B.O.S.'ie. I teraz dzięki pani (*do Heleny*) będę mógł ją przyjąć.

ANTONI : (*zadowolony*) Jaki ?

JAN : Mam małe dziecko, którym nie ma się kto zająć. To była poważna przeszkoda, bo będę miał moc pracy. Pani obiecała opiekować się dzieckiem. Teraz będę mógł wziąć się do roboty, a muszę wyznać, że się bardzo do niej palę. To dla architekta jedyna sposobność na tysiąc lat.

HELENA : Wiąże pan — życie mimo wszystko. Czy to nie jest piękne ?

Koniec aktu drugiego

A K T III. Scena I.

(Dużo szum dekoracji, ale ulica zupełnie oczyszczona z gruw, ładne sklepy w perspektywie ulicy. W naszej kramienicy wyremontowano parę okien. Wnętrze budki znacznie eleganckiej, urządzone ze smakiem jako mały bar. Przy ladzie siedzi Maria. Za budką t. zn. od strony widowni ławeczka i stwardel julejgoś traumniczka. Poczaytek czerwca. Na ławeczce siedzi Helena i Antoni. Niedziela).

HELENA : Niedziela i słońce — co za odpoczynek ! (*Pausa*). Co z panem będzie, panie Antoni ?

ANTONI : Dostyć śmieszna rzecz : wyszedłem cało z wojny i okupacji, żeby umrzeć zwyciężajnie z miłości do pani.

HELENA : POCO takie frazesy ?

ANTONI : To jest frazes. Jestem tak, powiedzmy, zbudowany, czy uformowany, że muszę kogoś kochać. Dla mnie strata moich bliskich była czymś znacznie cięższym, niż dla moich kolegów. Nie przechwalałam się, to może pewnego rodzaju słabość. Teraz pokochałam panią, oczywiście bez wzajemności, więc cóż mi pozostaje ? Moje serce nie może żyć wiecej na pustyni.

HELENA : Dziwna rzecz, jest pan taki młody, a taki jakis przedwojenny. Świat się przewrócił do góry nogami, a pan sobie myśli albo o wierszach, albo o miłości. Jeszcze póki pan cierpiął po stracie matki, mogłam panu współczuć, ale odkąd chce pan mnie roztkliwić swoimi westchnieniami do mnie, wydaje mi się pan niemodny, jak stary kapelusz. Niech pan zmieni styl. Teraz tego fasonu się nie nosi.

ANTONI : Jest pani bardzo ostro.

HELENA : Dawniej się mówiło : okrutna. Niech pan już używa i słownika epoki, do której pan duchowo należy.

ANTONI : Niech pani tak ze mnie nie drwi. To że panią kocham nie jest jeszcze powodem do takiego szyderstwa.

HELENA : Nie to, że mnie pan kocha, ale to, że pan mówi o śmierci i tak dalej. Teraz kiedy śmierć się stała dla nas

na)bardziej poufałą i codzienną sprawą, kiedy się ginęto w więzieniach, po obozach, z głodu, w diwnicach, rozmówki o śmierci z miłości, czy wogóle o miłości, branej tragicznie, są po prostu mądre.

ANTONI : A jednak myślę, że poeci zawsze będą się kochali, rozpaczaali z miłości i marzyli o śmierci, kiedy się poczują nad miarę samotni.

HELENA : To niech się z tym kryją. Ktoż z nas nie marzy o śmierci ? Ale o tym się nie mówi. To jest prywatna sprawa każdego z nas.

ANTONI : To jest właśnie cechą poetów, że mówią publicznie o prywatnych sprawach.

HELENA : Mnie to nudzi.

ANTONI : Pani pewno lubi typ zdobywcy, stalowego mężczyzny, bez nerwów itd.

HELENA : Zapewne, ale po co operować gotowymi formułami.

ANTONI : W każdym razie, ponieważ w tej postaci paną nudzę, postaram się ją zmienić i wogóle przestać się pani naprzykrzać. Wyjeżdżam.

HELENA : Pan się powinien jeszcze uczyć, panie Antoni.

ANTONI : (pomyślnie) Wyjeżdżam do Wrocławia.

HELENA : Jak to brzmi tragicznie !

ANTONI : Pani wciąż ze mnie żartuje. Ale niech pani nie myśli, że to rzecz łatwa. Tam jest bardzo ciężko, praca ciężka.

HELENA : Nabrał pan już wprawy tutaj. Myślny tu też byli pionierami.

ANTONI : Ale tam jest trudniej. Wrogle otoczenie, pełno jeszcze Niemców, trzeba chodzić z bronią.

HELENA : Zabawny też nasz Dzik Zachód, gdzie się jeździ z rewolwerem leczyć zżamane serca i być pionierem wśród ruin miast, albo na wielkich opustoszałych przestroniach. Niemcy zastępują Indian.

ANTONI : Dlaczego ja się wydamę pani taki śmieszny ?

HELENA : Tak sobie żartuję troszkę, ale bardzo pana lubię, panie Antosiu, jak pan przestaje być sentymentalny. Pomyśl z Wrocławiem jest świetny. Będzie się pan tam mógł uczyć, znajdzie pan prócz tego jaką pożyteczną pracę, no i mogą z tego wynikać naprawde dobre wiersze. Pan żyjąc na wsi, za bardzo się odizolował od życia, wojna przeszała, jakby obok pana. Niech pan się nauczy walczyć teraz, kiedy

40

jest pokój. Zaprawił się pan do tego przez tych kilka miesięcy w Warszawie.

ANTONI : Koniecznie chce pani zobaczyć we mnie tego stalowego człowieka ?

HELENA : Bo jest w panu materiał. Pan się spisywał świetnie tutaj cały czas, póki jeszcze było tak bardzo ciężko. Musi pan tylko jeszcze okrzepnąć wewnątrznie, przywyknąć do samotności.

ANTONI : Tego właśnie nie potrafię.

HELENA : Samotność jest męką, ale jest też i źródłem siły.

Scena 2.

(Wchodzi ojciec, siada obok wach na ławeczce)

OJCIEC : Odpoczywasz córuchno ?

HELENA : Tak, jestem porządnie zmachana.

OJCIEC : Tyle pracy w ministerstwie ?

HELENA : Coś przerażającego. Pomyśl, całe szkolnictwo trzeba organizować na nowo i to niemal z niczego.

OJCIEC : Piękna praca. Codzień cię cieszę, żeś ciśnieła tę budkę. Po to tyle lat się uczyć, żeby się na handlarke zrobić ? To nie robota dla ciebie, szkoda by cię było.

HELENA : No, materiałnie to się lepiej opłacało. Ale miał ojciec rację, kiedy mnie namówił, żebym pracowała w swoim fachu. Roboty mnóstwo, zapłata głódowa, ale ktoś to musi zrobić, ludzi tak mało, szkoły to przecież cała przyszość Polski.

OJCIEC : Handlarstwo nie dla nas. Odkąd pan Jan namówił mnie na ten B.O.S., też mi różniej na duszy. Mniej się zarabiał niż w warsztacie, ale jak pomyślę że i ja się przyuczynam do odbudowy, że i ja tę Warszawę piękną będę robił, to aż mi stare nogi skaczą. Lepsze to niż sklepy robić dla różnych szabrowników i spekulantów.

HELENA : Sklepy też są potrzebne. Dzięki nim Warszawa ożyła.

OJCIEC : Daj im Boże zdrowie. Nie tylko dzięki nim, bo jakby ulic nie uprzęgnięto, gruzów nie wywożono, wody nie rozprowadzano, to teżby życia nie było. To cud prawdziwy, ile się w te parę miesięcy zrobiło. A tylko patrzeć elektryczności i tramwajów. Czy wy wiecie, jakie się domy zaczęły budować, jakie gmachy, jakie ulice...

HELENA : Oho, pana Jana śpiewka.

OJCIEC : Piękna śpiewka. Nie żal mi, żem do tych lat dożył, żeby ją usłyszeć.

HELENA : Kto z was młodszy, panie Antoni, ojciec czy pan ? Wie ojciec, że pan Antos do Wrocławia jedzie.

OJCIEC : Ma rację, mnie samego na Zachód ciągnie, ale ja stary warszawiak, już tu przyrośłem.

HELENA : Chce ojciec przejść się trochę ?

OJCIEC : To dla mnie najmilsze święto, pospacerować z moją córuchną. (*Wychodzi*).

Scena 3.

(*Z bułki wychodzi Jacek o kulach i siada na ławeczce koło Antoniego*).

JACEK : Matka zapracowuję się w tej budce, ale mnie wypędziła na powietrze, niezbyt duży dziś ruch. Cóżes taki ponury ?

ANTONI : Ach, tak mam dosyć życia, tak mi wszystko obrzydło.

JACEK : I ty mnie to mówisz ? Mnie ?

ANTONI : Ty zawsze myślisz, że wszyscy inni muszą być szczęśliwi, bo są zdrowi. Można być nieszczęśliwym, mając zdrowe nogi.

JACEK : Bo sobie nie zdają sprawy ze swego szczęścia. Ale ja sobie nie pozwalałam na to, żeby myśleć o nieszczęściu. Nie dopuszczam go do świadomości. Nie wolno mi stać przed mną. Udam się — sam przed sobą — że nie stało i że nadal żyję normalnie. To jest jedyna postawa wobec nieszczęścia, o ile się chce dalej żyć. I tobie radzę to samo.

ANTONI : Tyś się bardzo zmienił od czasu, jak zacząłeś pracować w tej budce.

JACEK : Tak. Mogę powiedzieć, że panna Helena uratowała mi życie. To uczucie, że mogę zarobić na siebie, że nie będę wiecznym ciężarem matce, że jestem do czegoś.. Przed tym miałem fatalny okres, załamaniem się zupełnie (*pausa*). Siedząc na wysokim stołku za ladą, daję sobie radę dosyć sprawnie, prawda ?

ANTONI : To nadzwyczajna kobieta.

JACEK : Tak.

ANTONI : Nie pamiętam, czy ci mówiłem, że mam zamiar jechać do Wrocławia. Zapiszę się tam na uniwersytet.

JACEK : Szczęśliwy człowieku !

ANTONI : Pójdę już. Przyszłes z książką, chciałeś pracować ?

JACEK : Muszę się uczyć.

ANTONI : Tak, ciągle się muszny uczyć (*z gorączką*), ciągle czegoś nowego. Ciągle na nowo muszny się uczyć żyć. (*Odcodzi*).

Scena 4.

(*Jacek czyta chwilę. Aniela nadchodzi, siada koło niego*).

ANIELA : Dobrze, że wyszedłeś na słońce. Zaraz pójde pomóc mamie w sklepie. Chwilkę się tylko pogrzeję.

JACEK : Niech pani trochę odpocznie. Dość pani pracuje w ciągu tygodnia.

ANIELA : To całe moje szczęście. Odpocząć, to znaczy myśleć, wspominać, na tę torturę pozwolić sobie nie mogę. Jak według ciebie ma ma ?

JACEK : Uważam, że trzyma się zadziwiająco.

ANIELA : Właściwie, to wszyscy trzymany się zadziwiająco. I nie tylko my, ale ci wszyscy, o których się wie. Wiedocznie ludzie czują instynktownie, że w tak ciężkich warunkach nie trzymać się, to znaczy zginąć. Kiedy pomyśle w jak blących okolicznościach ludzie łamali się przed wojną. A przed wojną poprzednią ! Albo w drugiej połowie XIX wieku. Przecież to były same minnowy. Choćby bohaterowie Dostojewskiego przy lada okazji dostawali histerycznego ataku. Kto dziś dostaje histerycznych ataków ? Nikt.

JACEK : (*szepielem*) Ja raz, pamięta pani, tak mi wstyd.. ANIELA : Nie mówmy o tym. I to nie była histeria. Ktoż miał większe prawo niż ty... Ale teraz trzymasz się nadzwyczajnie. Podziwiam cię, Jacku. Zaczynasz mi naprawdę imponować.

JACEK : Cóż za pochlebstwa.

ANIELA : Nie, mój drogi. Nie możesz już uprawiać sportów, ale pozostajesz prawdziwym sportsmenem. Umiesz pokonać opór własnego ciała i stawiasz sobie pewne zadania, które musisz wykonać. Poruszają się sprawnie o kulach przy lądzie sklepowej jest nie mniejszym wyczynem sportowym, niż wejście na Mont-Blanc.

JACEK : To zabawne, groteskowe, ale tak właśnie sobie tę sprawę stawałam : wisieć na kulach tylko ramionami, nakazując obu dłoniom wykonywać pewne czynności, przetrwać ciężar całego ciała na jedną kulę itd. Osiąganie tych sprawności dosyć mnie czasem pasjonuje. To są mizernie zwycięstwa, ale też dają pewną satysfakcję.

ANIELA : To są wspaniałe zwycięstwa, stokroć większe,

niz jakies idiotyczne zawody, gdy chodzi o pobicie rekordu o 0,1 sekundy. To juz sa zwyciestwa ducha nad ciałem. A niez ty masz przed soba zwyciestw do osiagniecia: utrzymac matke przy zyciu i dac jej choc troche szczescia.

JACEK : Dostyc trudne zadanie dla dziecka srednio kochanego.

ANIELA : Przeslan juz to powtarzajac, guplasku. Jezeli nawet tak bylo niegdys, ze matka wiecej kochala Hankę, to stary sie zdobywac jej serce coraz silniej to tez zadanie powiedzialy — sportowe. Ale czy ty nie widzisz, ze cel juz jest osiagniety, czy nie rozumiesz, jak ona cie kocha ? Zrobila dla ciebie najwieksza ofiare: zyje. A zdecydowal sie na zycie jest czesto trudniej, niz zdecydowac sie na smierc.

JACEK : To napewno.

ANIELA : I jeszcze jedno masz wspaniale zadanie przed soba : matka teraz bedzie mogla coraz latwiej zarobic na was oboje, pozostaw jej to, niech sie czuje potrzebna. A ty musisz uczyc sie i stac sie czems pomimo swego nieszczęścia. Jak Roosevelt.

JACEK : No, Roosevelt mial znacznie ulatwione zadania dzieki pieniadzom. Kalectwo nie jest tak trudne, kiedy sie ma samochod, różne wozki, służbę i w ogóle wszelkie ulatwienia.

ANIELA : Zapewne. To tez masz do wykonania zadanie jeszcze wieksze niz Roosevelt. Jezeli alpinista pokonal szczyt, to drugi bedzie sie staral zdobyć go trudniejsza droga, czy nie ? Takie jest przykazanie sportowe, prawda ? Widzisz wiec, ze nie tylko nie masz sie wyrzec sportu, ale masz go praktykowac w jeszcze wyzszyzn stopniu, niz dotad. I bez zadnej przemošni, to bedzie prawdziwy sport : cwiczenie ciała, woli, wytrzymalosci i odwagi.

JACEK : Pani tak przyjemnie mowi. Co w pani jest, ze pani tak potrafi dodac ochoty do zycia ?

ANIELA : Wiara w celowosc wszystkiego, co nas spotyka.

JACEK : Powinna pani dodac tez otuchy Antoniemu. On tak cierpiat po stracie matki. Pani zajela sie nim, jak własnym synem. Stał się zupełnie do rzeczy. A teraz uwaza pani, jakimi znów jest ponury ? Zdaje się, przyoczyna dosc banalna, nieszczęśliwa miłosć.

ANIELA : Antoni jest skazany na cierpienie niezaleznie od zewnętrznych okolicznosci. Jezeli zycie mu go nie dostarczy, sam je sobie stworzy. Od tego jest artysta. Na to nic mu pomoc nie mozna. I nie trzeba.

JACEK : Ale czy stuszny jest ten jego projekt wyjazdu ? Bedzie się czul jeszcze bardziej samotny.

ANIELA (*zaskoczona*) Jaki projekt wyjazdu ?

JACEK : Nie mowil pani, ze chce się przeniesć do Wrocławia ?

ANIELA : (*z przykrošciami*) Nie.

JACEK : Moze to cos nowego.

ANIELA : (*spuszczajac glowe*) Wiecej chce jechac ? Cóż robic ? Gupio bylo się do niego przywiązywac. Myślalam... Cóż robic ? Jasna rzecz, co mu po starej babie..

JACEK : Ogrzal się przy pani dobroci, kiedy mu bylo bardzo zimno, a teraz inne nieszczęście pedzi go naprzód.

ANIELA : Tak, musi isc swoja droga.

JACEK : A pani ?

ANIELA : Cóż ja ?

JACEK : Pani myslala, ze bedzie w nim miata przybranego syna (*z gorzoscą*). To tak mozna własne dzieci zastepowac cudzymi ? Jak nie te, to tamte ?

ANIELA (*dotknietą*) Nie plec, Jacku. (*Po chwili*) Ja mam w sobie tyle miłosci na zbyciu, ze starca mi jej nie tylko dla własnych dzieci. A tak ciężko żyć bez przywiązań, bez troski o kogos.

JACEK : Ma pani nas.

ANIELA : Nie, wam juz jestem niepotrzebna. Dam sobie radę, nie troszcz się o mnie. Ale narazie muszę isc pomoc mamie. (*Wychodzi*).

Scena 5.

(*Z wnętrza budki na werandkę wychodzi Alojzy i Francka, stajac przy stoliku. Jacek zatopiony w księce, nie słucha ich rozmowy*).

FRANKA : Przynajmniej raz w tygodniu człowiek se wypocznie. Pieskie zycie, tylko haruj i haruj.

ALOJZY : (*do wchodzącej Marii*) Proszę dwa lody, a dla mnie moze być bimbru kieliszek.

MARIA : Bimbru nie trzymam.

ALOJZY : Ojoj, co za udawanie, żeby drożej za gorzalkę hiczyć i tylko ludzi nabierac.

JACEK (*podnosi glowe, groźnie*) Pan będzie łaskaw zachowywac się grzeczniej.

ALOJZY : Co pan taki nerwowy, panie inwalida, słowa nie mozna powiedziec. No juz, ale jak nie bimbru, to proszę

całą fiaskę, żeby przynajmniej widać było, że to monopoliówka.

FRANKA : Wciąż tylko pijesz i pijesz.

ALOJZY : A co mam zrobić, kiedym zdrow. Będę sobie żałował.

FRANKA : Kiedy co się zarobi, to wszystko przepijesz. I sklep już przepiełeś i przegrzałeś w karty.

ALOJZY : Wielkie rzeczy, pójdzie się znów na szaber i się towaru przywiezie. A kto mi każe od rana do nocy za ladą stać i gościom się kłaniać.

FRANKA : Zawsze to pewniejsze, niż te jazdy. Zeszłym razem aż do Odry dojechałeś i dużo przywoziłeś ? Wszystko zabrali.

ALOJZY : Raz zabiorę, raz nie. Trzeba tylko boczne drogi spenetrować. Chciesz Frydla wódki ?

FRANKA : Daj kieliszek. Ja nawet nie wiem, gdzie się to hasze całę dobro podziało. Tyle tego było, a teraz guzik.

ALOJZY : Rozeszło się i niema. Trzeba po nowe jechać. Powiadam ci Franka, jedź ze mną, jesteś młocna, jak koń, zawsze się więcej przywiezie. Na Śląsk, albo w stronę Szczecina.

FRANKA : Kiedy tam tyle wojska (*wstydliwie*) Kobiety mogą zawsze spotkać jakieś... nieprzyjemności.

ALOJZY : Nie mydło, to się nie wymyśli. Jest tam o czymś gadać. Wypij jeszcze kieliszek, to zaraz nabierzesz ochoty.

FRANKA (*pije, kawo*) Taki piękny sklep mieć i tak zmarłować. Chamała się sprzedawało, mydka. Co ty (*wymawia ch* i o) a teraz co ?

ALOJZY : Sto razy ci mówiłem, że mówi się : Koty.

FRANKA : Głupi byłeś i zostajesz. Mydło Koty, kto to kupi. Pomyślą że z kotów wyrabiane. Ale taki sklep zamarnować (*placze*).

ALOJZY : (*sentencjonalnie*) Było, przeszło, będzie nowe. Warszawy też nie było, a jest. Jakem dobry Polak, tak mieć będzie pięć sklepów, tylko muszę na Zachód pojechać (*Jack* *ustaje z odruchem wstępu i wchodzi do budki*). Patrz, już temu inwalidzie rzygać się zachciało od twoich ryków. Czego beczysz ?

FRANKA : Taki sklep, taki sklep ! Dziadami byliśmy, dziadami zostaniemy.

ALOJZY : E, dla ciebie to nawet szkoda pieniędzy na wódkę. Żadnego życia w tobie niema. Idziemy. Pójde gdzie z kolegami, a ty babo odczep się ode mnie (*wychodzą do budki*).

46

Scena 6.

(*Wchodzi Helena i siada na ławeczce przed werandką. Po chwili wchodzi Jan i siada koło niej. Milczenie*).

JAN : Odkąd pani przeszła do Ministerstwa, nigdy nie można pani złapać, żeby pogadać spokojnie. I pani coraz bardziej jest obca. Dziwna rzecz, zaczęliśmy od wyjątkowej bliskości duchowej, a teraz raczej się oddalamy.

HELENA : Bo i chwila była wyjątkowa, kiedyśmy się pierwszy raz spotkali. Teraz zaczynamy wracać do normalnego życia.

JAN : Normalne życie to znaczy obcość ?

HELENA : Jesteśmy przecież w przyjaźni. Nie wiem o co panu chodzi ?

JAN : Niby tak, ale bezustannie się pani cufa, jak ślimak zamyka w skorupie. Przychodzi dzień, że rozmawiamy ciepło, blisko, a potem wszystko trzeba zacząć z początku.

(*Helena milczy*)

Jeszcze póki się pani zajmowała Zosienką, mieliśmy więcej punktów slycznych, a teraz...

HELENA : Zosienka jest jeszcze lepiej pod opieką pani Marii. Pani Maria zupełnie wariuje na jej punkcie.

JAN : A dziecko więcej panią kocha.

HELENA : Ja też ją kocham. Przecież pani widzi, że jak tylko mam wolny czas, najmniej mi z nią przebywać. Teraz też byłam na spacerze z nią i z ojcem.

JAN : Wiem. Wiele myślałem o tym. To też chce pani coś zaproponować.

HELENA : To mają być oświadczenia ?

JAN : Tak.

HELENA : A jednak zaczynam myśleć, że mężczyźni, w przeciwieństwie do kobiet, nie mają duszy.

JAN : Nie uważam, żeby chwila była odpowiednia do żartów.

HELENA : Nie żartuję. Budzi pan we mnie niesmak. Nie ma jeszcze roku, odkąd zginęła pańska żona. Chciał pani zdać się, umierać po jej stracie. A teraz mi się pan oświadcza.

JAN : To najlepszy dowód, jak jesteśmy daleko od siebie, jeżeli pani może tak mówić. (*Macha ręką*). Poczywiście dajmy lepiej spokój. (*Milczenie*).

HELENA : Nie chciałam pana dotknąć.

JAN : Tylko mnie chciała pani zranić.

HELENA : Ale czy nie powiedziałam prawdy ?

47

JAN : Nie. Zmusza mnie pani, abym stawił sprawę brutalnie, ale nie chcę nieporozumień. Nie kocham pani. W każdym razie nie tak jak żonę.

HELENA : To już mi się więcej podoba.

JAN : Więc dobrze. Tak, jak kochałem żonę, nie będę już kochał zapewne żadnej kobiety. Mam uczucie, jak gdyby w ogóle zdolność odczuwania miłości wypaliła się we mnie. Nie mam zamiaru z panią gruchać, ani pleść różnych fdyrygatów miłosnych. Zresztą pani sama mnie odpycha : zawsze ironiczna, zawsze w defensywie. Więc niech pani słucha : dla nas obojga szczęście się skończyło, ale żyć musimy, chociażby dla tego, że jesteśmy młodzi i praca nasza może się na coś przydać. Podobna mi się pani, też, być może, wstrętu w pani nie budzę. Widzę, jak pani żyje, szanuję panią, jako człowieka. Wiem, że mogę powierzyć pani dziecko, z którym sam nie umiem sobie poradzić. Więc proponuję pani małżeństwo. I kropka. Teraz już niema nieporozumień ?

HELENA : Żadnych. Więc uważa pan za konieczne zawrzeć małżeństwo z rozsądku ?

JAN : Tak, uważam za wskazane.

HELENA : Słownie. Jeszcze pan nie dodał w swoim exposé, że nie lubi pan chodzić na dziewczynki, zresztą niema ich w Warszawie i wobec tego, żona jest pożytecznym meblem w domu.

JAN : Pani naprawdę jest brutalna.

HELENA : Mniej więcej tak, jak całe nasze życie.

JAN : No więc, jak pani chce. Ten argument jest też słuszny.

HELENA : Wobec tego, zacytnam rozumieć, co panu ma dać to małżeństwo. Ale co ma dać mi ?

JAN : Mniej więcej to samo.

HELENA : Rozmawiamy bardzo trzeźwo, więc odpowiem : dziecka nie mam, pragnień fizjologicznych nie odczuwam, samotność mi nie dolega, na małżeństwo nie reflektuję.

JAN : A ja pani nic a nic nie obchodzę ?

HELENA : Tyle samo co ja pana. Szanuję pana, jak to się mówiło w dawnych powieściach.

JAN : Zabrnęliśmy na jakiś bezdroża. Zupełnie inaczej wyobrażam sobie tę rozmowę. Pani jest tak odpychająca, że mimowoli pobudza mnie pani do mówienia nie tego co chciałem.

HELENA : Zmuszam pana do szczerości, a że nie wygląda ona pięknie, to już nie moja wina.

JAN : Pani jest przeraźliwie konwencjonalna. Dźwiga pani cały balast romantyzmu, który nie ma żadnego zastosowania w obecnych czasach. Chce pani płomiennych spojrzeń, słowa „kocham” w każdym zdaniu, rozpaczy z powodu sprzeczności, „niewierzenia się panioci żony i bogactw z mojej strony. Chce pani z mojej strony pewnego konwenansu, któryby pani odpowiadał. Pani...

HELENA : Niech pan przestanie mówić o mnie. Niech mnie pan przestanie dręczyć.

JAN : Ja dręcę panią ?

HELENA : Czego pan ode mnie chce ? Czemu się pan znęca nade mną ? Nie kocha mnie pan, a ja nie pagnę małżeństwa z rozsądku. Nie może być o niczym mowy między nami, niech pan odejdzie.

JAN : Nie, teraz nie odejde. Gdybym teraz odszedł, już byśmy się nigdy nie mogli dogadać ze sobą. Jest jakiś mur między nami. Musimy go przebić. Panno Heleno, niech pani tak nie utrudnia (*Helena tworzy ukryta w dwojaku*). Może się pani nie godzić na małżeństwo, ale możemy przecież mówić o tym jak przyjaciele, a nie jak wrogowie.

HELENA : (*znużonym głosem*) Co tu jeszcze jest do mówienia ?

JAN : Panno Heleno, przecież to nie znaczy, że ja pani nie... ja jestem do pani bardzo przywiązany, mnie na pani bardzo, bardzo zależy. Pani pierwsza niegdyś podszła do mnie, pani bezwiednie czuła, że nas coś łączy. Czy pani myśli, że jabym o jakiejkolwiek innej kobiecie pomyślał, jako o opiekunie mego dziecka, że mógłbym sobie wyobrazić życie z inną ?... Tamta moja miłość będzie tkwiła, jak cierni w moim sercu przez całe życie, ale są przecież różne miłości. Myśmy oboje przeszli tyle, mamy wypalone do cna połacie duszy, nie możemy ofiarować sobie miłości - szczęścia, bo to słowo przestało dla nas cokolwiek znaczyć. Ale możemy dać sobie nawzajem trochę spokoju, wierną, rozumną przyjaźń, czułość. Możemy czuć, jak nasze serca zgodnie biją obok siebie... (*obejmując ją*).

HELENA : (*zrywa się z krzykiem*) Nie !

JAN : Co ? (*pausa*) Ach, teraz rozumiem. To wstręt do mnie.

HELENA : (*gorączkowo z kłamiem*) Tak wstręt, wstręt, ale nie do pana. Do wszystkich, zawsze. To ohydne, okropne. Ja nigdy, nigdy... Nienawidzę, nienawidzę...

JAN : *(próbując ją uspokoić)* Co pani jest ? Co się stało ?
Nic nie rozumiem, niech się pani uspokoi...
HELENA : Nie rozumiem pan, nie nie rozumiem ! No więc
ja przesiadam przez Zieleniak *). Teraz pan rozumie ? Jak nas
wyprowadzili z Warszawy... teraz pan rozumie ?... Och, Boże,
Boże ! *(wybitega)*.

Scena 7.

(Przed werandą przystaje panusia z Walerką)

WALERKA : Może wejdzimy na lody ?

PANIUSIA : Też co ci do głowy przychodzi ?

WALERKA : Zarabiamy tyle, że możemy sobie na to
pozwolić.

PANIUSIA : Zawsze byłeś manóbrawna, moja droga.

WALERKA : A pani zawsze skąpa. Ja funduję.

PANIUSIA : Nie mogę przyjmować od własnej służącej.
WALERKA : Nie jestem już służącą, tylko pani współ-
niczka. Dobrzeby pani beze mnie wyglądała. Śladu by z pani
nie było. Z pani robotnica do niczego, ale kraść pani nie kra-
dnie i spółkę można z panią prowadzić.

PANIUSIA : Jak ty do mnie mówisz ? Zawsze byłeś
dyskuta !

WALERKA : No, no, bez urazy. Wchodzimy, funduję
lody i ciastka. *(Wchodzi do budki)*.

Scena 8.

(Maria z Amelią wychodzą i zbliżają się do kawiarki)

ANIELA : Niech teraz Jacek się trochę pomęczy. Chodź
zaraz na powietrze.

MARIA : *(do Jana)* Tak pan samotnie siedzi ?

JAN : Samotnie. Zupełnie samotnie. Och, bardzo samot-
nie. *(Ustępuje paniom miejsca na ławeczce, siada na murku.*
— Milczenie).

MARIA : Zosia trochę lepiej wygląda. Bawi się tam z
dziećmi. Ach te dzieci wśród ruin ! Czy chce pan, żeby ją tu
przyprowadzić ?

JAN : Nie, nie, niech się bawi. *(Pauza)*.

MARIA : Słyszał pan, że Antos jedzie do Wrocławia ?
Będzie nam go bardzo brakowało. Eoje się, że Jacek poczuje
się bez niego samotnie, tak samotnie, jak pan przed chwilą.
Nie mówiąc już o Anieli.

*) *Obóz koncentracyjny, gdzie Niemcy zgwałcili wiele ko-
biet, wypędzonych z Warszawy.*

ANIELA : Tak.

JAN : Cóż za ohydna, czepna rzecz, serce ludzkie. Ma
pehno maciek, którymi się wssysa w otaczające przedmioty, czy
osoby. Odetnie się jakąś maciek, krwawi, zdaje się, że cała
krwaw z niego wyleci, a tu odrasta inna maciek i wczepia się
znów w coś innego.

MARIA : Tylko coraz słabsze te maciek odrastają, coraz
węższe.

ANIELA : Przydłkie porównanie. Możeby raczej użyć ja-
kiegós z zakresu botaniki : ścięty pień i odrastające pędy,
albo z fizyki : źródło światła zasłonięte z jednej strony, tym
intensywniej świeci na boki.

MARIA : Tylko o ile regeneracja w przyrodzie jest pięk-
na, albo wzniosła wprost jest odradzanie się Warszawy, o tyle
odradzanie się człowieka jest dla mnie ciężsto gorszące. Ja
na przykład sama w sobie budzę obrzydzenie, że potrafiłam
przeżyć śmierć dziecka, że chodzę, uśmiecham się, żyję.

ANIELA : Nie masz racji. Jesteś częstką ogólnego zja-
wiska i podlegasz tym samym prawom.

JAN : Aż nadto czujemy, że jesteśmy tylko przedmiotem,
mi, którymi miotają różne żywioły, ale co gorsza te żywioły
dzwiją sobie z nas najwyraźniej *(odchodząc)*.

Scena 9.

(Aniela i Maria siedzą na ławeczce)

ANIELA : Dziś poprawda i ja poczułam zgorznienie z sa-
mej siebie. Doznałam ostrego bólu, kiedy usłyszałam, że Antos
wyjeżdża. Dopiero wówczas zdałam sobie sprawę, że może
miałam w głębi serca nadzieję... że ja mu w miarę się za-
stąpię matkę, a on mi, choć trochę, choć odrobinę... syna.
Innymi słowy chciałam widocznie odbudować swoje życie pry-
watne, zastąpić to, co niezastąpione i szukać jeszcze jakichś
radości. Słusznie Bóg mnie skarcił za to i wstyd mi, bo nie
innego tylko egoizm mną kierował. Antkowi byłam potrzebna
w pewnym momencie, a teraz odfrnuwa i dobrze robi. Teraz
już wybolało, rada jestem nawet z tego.

MARIA : I cóż ze sobą zrobisz ?

ANIELA : Och, nie wielkiego. Po prostu pójdę pracować
w jakim sierocińcu, teraz jest tego takie mnóstwo, indzi tak
m mało, praca ciężka. Znajdę i w tam zapewne dużo rado-
ści, ale nie będę już miała prywatnego życia, którego, jak
czuję, nie powinnam odbudowywać z gruzów.

(Milczenie)

MARIA : I tak się jakoś wszystko układła. Przeszliśmy najstraszliwsze katastrofy : ogólnoludzką, narodową, osobistą i nic i dalej żyjemy i każdy znajduje jakąś tam swoją drogę i życie toczy się dalej. Mów co chcesz, a ja nie mogę się z tym pogodzić.

ANIELA : To właśnie jest niedobre w tobie. Ten ciągły bunt przeciwko nieumiknionemu, ciągła gorączka, którą nie nie zbudujesz, którą się tylko zatruwasz. Poddaj się, pogódź z wolą boską, zaufaj, że może najgorsze klęski mają jednak jakiś cel wyższy, który nam się wymyka. Nie prawuj się z Bogiem, staraj się Go przyjąć w sobie.

MARIA : Nie chcę, nie daję zgody na to, co się stało, mogę to znieść, skoro nie mam innego wyjścia, nie mogę się z tym pogodzić.

ANIELA : I cóż z tego ? Sama sobie robisz krzywdę. To jest droga, która cię do niczego nie doprowadzi. Spróbuj bodaj parę kroków zrobić na mojej ścieżce. Ja przynajmniej zyskałam spokój.

MARIA : Zazdroszczę ci go, choćby dlatego, żeby go móc udzielić Jackowi.

ANIELA : O, on ma go znacznie więcej od ciebie.

MARIA : No, trzeba go trochę złuzować. (*Wracając do budki*).

Scena 10.

(*Helena wraca mocno przytulona do ojca*)

OJCIEC : Córkucho moja, co z tobą ? U nas w pokoju taki gwałt, tyle ludzi, że pogadać spokojnie nie można. Oj, żeby to mieć kąt bodaj dla siebie. Chodź na naszą ławeczkę, tam przynajmniej nikt nie słucha, co się mówi. Usiądźmy. (*Siadają. Helena chwyciła twarz w jego ramieniu*). Heluska, powiedz co cię boli. Komu masz powiedzieć, jak nie staremu ojcu.

HELENA : Ojciec (*szeptem*) będę musiała stąd wyjechać. Muszę uciekać.

OJCIEC : Chce się z tobą żenić ?

HELENA : Tak. Skąd wiesz ?

OJCIEC : Od tego ja ojciec. Córkucho, to dobry człowiek.

HELENA : (*z gorzkim uśmiechem*) Co z tego, kiedy ja niedobra.

OJCIEC : Powiedziałaś mu wszystko ?

HELENA : Tak. Skąd wiesz ?

OJCIEC : Co ja byłbym wart, gdybym ja mojej córkucho nie znał. Ale źle zrobiłaś. O takich rzeczach się nie mówi. Albo tylko ojcu. Czy matce. To jest twoje własne nieszczęście. Poco je zwalasz na kogo.

HELENA : To nie dlatego. Jest jeszcze coś gorszego. Ja już nigdy nie będę kobietą. Nie mogę znieść... dotknięcia. Jak pomyśleć...

OJCIEC : To tak, ach głupi ze mnie człowiek. To tak ? No pewno, pewno.

HELENA : I najgorsze z tego, że ja go kochałam, jego dopiero kocham naprawde. Stacha lubiłam bardzo, strasznie mi go żal, ale jego... kocham, kocham miłością.

OJCIEC : I pomimo to nie możesz... ?

HELENA : Tym bardziej nie mogę. Nigdy nie będę mogła.

OJCIEC : Nie wiadomo, Helusiu, nie wiadomo. Wszyscy kiego rany zarażają i ludzie żyją, nawet ślepi i bez róg i potrafią być szczęśliwi. Twoje rany święte, muszą się zabić. I otworzyły się teraz na nowo. Ale czas, Helusiu, czas na wszystko znaleźć radę.

HELENA : Nigdy już nie być szczęśliwą.

OJCIEC : Przyjdzie jeszcze i na ciebie pora. Nie bódaj, a czas płynie, płynie.

HELENA : I jego stracę, znajdzie inną, on mnie tak nie kocha, jak ja jego. Ja go nie chcę stracić.

OJCIEC : (*kobysze ją łagodnie*) Cicho, Helusiu, cicho.

HELENA : Chcę wyjechać, tatk.

OJCIEC : Od siebie nie uciekniesz, córkucho. Masz tu robotę, ważną robotę, moja mądra główko. Pracuj, pracuj ciężko, nie rozpraszaj, a jeżeli jego stracisz, to ci ojciec zostanie.

(*Milczenie*)

Ale o jego dziecku też pamiętaj. Zawsze miej to na myśli, co będzie, jeżeli on weźmie niedobrą kobietę.

(*Milczenie*)

Córkucho, ja go widzę. Błąka się tam wśród gruzów, jak potępiona dusza. Córkucho, ja już pójdę. Pogadajcie sobie spokojnie, godnie, przestań płakać, nie postanawiać nie trzeba. To dobry człowiek, Helusia i macie jeszcze tyle czasu przed sobą. (*Wychodzi*).

Scena II.

(Zmierzch zapada. Jan zbliża się do siedzącej na ławeczce Heleny, kięka przed nią i przytula głowę do jej kolan).

JAN *(szepcąc)* Moja najbiedniejsza, moja najmilsza, moja najgorzej skrzywdzona. Moje sponiewierane, nieszczęśliwe dziecko. Teraz cię już nie mogę opuścić. Kto cię zrozumie, kto cię pocieszy, komu będziesz mogła zaufać? Mnie, prawda, że mnie?

HELENA *(placze)*.

JAN: Nie placz dziecino. Nigdy więcej nie będziemy o naszych nieszczęściach mówić. Ani ja, ani ty. Co było, minęło, przeszło. Przeszłość jest trupem, trzeba ją pogrzebać. Trzeba na jej miejscu budować coś nowego, coś piękniejszego. Patrz te brzydkie ruiny też wkrótce znikną. Na ich miejscu powstanie nowe wspaniałe miasto. Ja je będę budował z innymi. I będę tu budował na nowo moje i twoje życie.

HELENA *(jęk)* Janie...

JAN: Pobierzemy się już teraz, żeby stworzyć dom, żeby go budować już w tej chwili, z niczego, bo nic nie mamy. I żeby Zosia miała nową mamusię i żeby drogi nasze się nie rozszły. Ale będziemy jak brat z siostrą, długo, choćby latami, tak długo jak sama zechcesz...

HELENA: Janie...

JAN: Będziemy mieli oboje bardzo mało czasu. Będziemy strasznie pracowali. Mamry okropnie dużo do zrobienia. Nie będziemy myśleli o szczęściu, bo jeszcze szczęście nie dla nas. Ale może kiedyś...

HELENA: Janie...

JAN: Pomyśl, tyle ran, tyle strasznych ran, nie my jedni. Tyle nieszczęśliwych, miliony, miliony ludzi, tyle nieszczęśliwych domów, tyle nieszczęśliwych miast. I z tego nieszczęścia musi powstać nowy lepszy świat. I może dla nas — nowe życie. Mimo wszystko.

K O N I E C